Miesięcznie 1 zł.
prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok IV. Niedziela, dnia 17 maja 1936 r. Nr. 20



Dzień Dobry

Nim się z pościeli wynurzę,
Sen z ciepłych strącę
Powiek,
Kładziesz przy mojej głowie
Białe,
Pachnące
Róże.

Aksamitnemi płatkami
Patrzą się we mnie —
Nabrzmiałe
Rosą, czy łzami...
Róże
Pachnące,
Białe.

Kładziesz przy mojej głowie
Zawsze tak samo chłodne
I wargi moje całują
Róże urodne.

W pokoju sennie,
Biało,
Jak białe róż są płaty.
I tak mi jest promiennie
I tak mi jest nieśmiało,
Gdy mówią mi: „Dzień dobry"
Pachnące kwiaty.

Halina Podolska.

MARJAN BRONISŁAWSKI

19

Szumowiny

Powieść sensacyjna na tle stosunków amerykańskich

Twarz staruszki rozjaśniła się na dźwięk imienia Haneczki. Tyle nasłuchała się od syna o niej, że nie znając jej wcale, pokochała ją poczciwem sercem matki. Toć Stefek będąc jeszcze małym chłopcem, w czasach, gdy pracował jako pomocnik u mleczarza, codziennie opowiadał jej o tej dziewczynce, o każdem jej słowie, każdym niemal ruchu. A potem, gdy dorastał i zaczął pracować w redakcji jako chłopiec biurowy, jakież to nadzieje i sny złote snuł przed nią wieczorami, a wszystkie te marzenia i nadzieje obracały się zawsze tylko dokoła owej Haneczki, tej właśnie Haneczki, która w tej chwili przed nią stała.

— Haneczka... — rzekła wzruszona Lubiczowa — Haneczka... Teraz przypominam sobie dokładnie. Widziałam panienkę raz gdzieś na szkolnej wycieczce, dokąd zaprowadził mnie mój Stefek. Ale byłaś wtedy dzieckiem jeszcze, a dziś, widzę, panna dorosła...

Oczy jej zaszły znów łzami.

— Jakżeby cieszył się Stefek, gdyby mógł cię widzieć, dziecko moje — rzekła, tłumiąc rwący się z piersi jęk. — Ale on... w strasznem dziś nieszczęściu się znajduje — dokończyła przez łzy, słaniając się na nogach, osłabiona wzruszeniem.

Haneczka podtrzymała staruszkę i poczęła mówić zdyszanym, urywanym głosem:

— Niech pani nie płacze... Ja wiem... ja wiem, że Stefana uwięziono, że on cierpi niewinnie, podejrzany o straszną zbrodnię... I dlatego tu przyjechałam... do pani, do matki Stefka... Bo... niech pani daruje... ja go kocham! Kocham całem sercem, choć bardzo dawno już go nie widziałam...

Lubiczowa przygarnęła płaczącą dziewczynę i drżącą ręką pogłaskała ją po jasnych włosach. Roztajało biedne jej serce i poczuła, że i ona pokochała to dziecko, które tak prosto i naiwnie przyznawało się do miłości dla jej syna.

I dziwny spokój spłynął nagle na te dwie kobiety, z których jedna była już na schyłku życia, a druga na progu dopiero stała. Wspólne cierpienie zjednoczyło je, związało niewidzialnym łańcuchem, zbliżyło ich serca do siebie.

— Ratować musimy Stefana — mówiła dalej Haneczka. — Nie wierzę w to, co gazety piszą, że istnieją niezbite dowody jego winy... On nie dopuścił się niczego złego... To wszystko straszna omyłka, jakiś fatalny zbieg okoliczności... Oskarżają go o zabicie pana Wintersa.... Ależ on właśnie z tym Wintersem miał czekać na mnie wczoraj wieczorem i zabrać mnie do New Yorku... bo tak ułożył Winters. Uciekłam z domu, w którym się wychowywałam, bo opiekunowie moi nie byli dla mnie dobrymi... A ten pan Winters przyjechał z daleka, od mojego ojca, i przywiózł dla mnie jakieś drogie kamienie, które podobno miały wartość dziesiątek tysięcy dolarów... Pan Harden, mój opiekun chciał, żebym mu oddała te kamienie, ale Winters, choć miał je przy sobie, powiedział, że odda je dopiero na drugi lub trzeci dzień. A właśnie tej nocy, kiedy wyszedł z restauracji Hardena, znalazł śmierć na drodze...

Matka Stefana uważnie słuchała tej bezładnej gadaniny rozżalonej Haneczki, gdy przyszło jej na myśl, żeby powiedzieć o tem wszystkiem staremu Soganowi, który zawsze jej i Stefanowi okazywał niekłamaną życzliwość.

Uścisnęła serdecznie dziewczynę i rzekła:

— Wiem i ja, moje dziecko, że mój syn nie byłby zdolny do żadnej zbrodni i jestem pewna, że niedługo okaże się jego niewinność. Ale musimy postarać się o adwokata, który wydobędzie go z więzienia. Na to trzeba pieniędzy, a ja, niestety, ich nie mam. Ale znam jednego starego policjanta, który bardzo lubi Stefka i zrobi z pewnością wszystko, co w jego mocy, żeby pomóc chłopakowi. Pójdziemy do niego razem on nam poradzi jak postąpić, tembardziej, że znał tego Wintersa i był u nas razem z nim.

Przybycie Haneczki dodało otuchy matce Stefana. Choć znużona po bezsennej nocy, zakrzątnęła się żywo w kuchni, przygotowała skromne śniadanie i zmusiła dziewczynę do posilenia się. Podczas śniadania Haneczka opowiedziała matce Stefka smutne dzieje swego życia w domu Hardenów.

— Ale teraz nie wrócę już do nich — mówiła. — Żeby tylko mój ojciec jak najprędzej przyjechał, to zamieszkam razem z nim i będę gospodarstwo prowadzić. Tylko boję się, że może nie odnaleźć mnie, bo będzie mnie szukał u Hardenów, a oni nie mogą wiedzieć, gdzie ja będę.

— Tymczasem będziesz razem ze mną — wtrąciła Lubiczowa. — Znajdzie się w tym domu kącik dla ciebie. A jak ojciec przyjedzie, to jakoś dowiemy się o tem i postaramy się zawiadomić, gdzie jesteś.

— Ale ja nie mogę i nie chcę być pani ciężarem — odpowiedziała dziewczyna. — Zdrowa jestem i mogę pracować. Postaram się o jakiekolwiek zajęcie, choćby w fabryce, i będę chodzić do pracy. Prawda, pani Lubicz?

— Zrobisz jak zechcesz, moja droga — odrzekła Lubiczowa. — Cieszy mnie, że tak zapatrujesz się na życie. I przyznam, że wolałabym, żebyś pracowała jako zwykła robotnica w fabryce, niż jako tancerka w restauracji lub choćby nawet w jakiim teatrzyku. Stefan będzie tego samego zdania, choć nie mówił mi nigdy o tem, że występowałaś w restauracji Hardena. Tymczasem uważaj dom ten za swój własny, a mnie za matkę, bo choć kilka chwil rozmawiam dopiero z tobą, pokochałam cię jak własną córkę.

Uścisnęły się serdecznie i zaczęły przygotowywać się do wyjścia, gdy na werandzie rozległy się ciężkie kroki i silne pukanie w drzwi.

— Kto tam? — spytała pani Lubicz.



Szwedzka dziennikarka panna Greta Molander uczy się w Ameryce pilotażu, by podczas Olimpjady berlińskiej, dostarczać codziennie osobiście sprawozdania z zawodów do swej redakcji w Sztokholmie.

— Swój — ozwał się niski, męski głos. — Niech pani otworzy, chcę z panią pomówić...

— Pan Sogan! — zawołała Lubiczowa, szybko otwierając drzwi. — Proszę, proszę bardzo — mówiła podając rękę staremu policjantowi.

— Dzień dobry pani — rzekł wchodząc. — Widzę, że pani wybiera się gdzieś do miasta i nie w porę przyszedłem, co?

A w duchu pomyślał, że matka Stefana nie dowiedziała się jeszcze o nieszczęściu syna.

— Wybierałam się właśnie do pana, panie Sogan, bo w strapieniu i ciężkiej zgryzocie chciałam poradzić się pana. Pan przecież wie, że Stefek został uwięziony jak zwykły zbrodniarz... Wczoraj wieczorem wyczytałam w pismach, że posądzają go o zamordowanie tego pana Wintersa, który tu był razem z panem...

— I dlatego widzi mnie tu pani — odpowiedział Sogan. — Dowiedziałem się o tem także wczoraj, ale nie mogłem zejść ze służby. Ale widzę, że pani ma gościa — dodał, przyglądając się bacznie Haneczce.

— To panna Burska, dawna znajoma Stefka...

— Panna Burska? Aha... domyślam się teraz. Bardzo mi miło poznać przyjaciółkę Stefana, — rzekł, zwracając się do Haneczki. — Mówił mi o pani i wcale mu się nie dziwię, że znając panią, nie spojrzał nawet na inne panny.

Haneczka zarumieniła się jak wiśnia.

— Panie Sogan, na miłość boską, niech mi pan powie, co robić! — przemówiła Lubiczowa, chwytając Sogana za rękaw.

— Pan zna się na takich prawach... bo w policji macie z tem do czynienia... Czy to możliwe, żeby mojego Stefka trzymali w więzieniu? Pan chyba dobrze wie, że on nic złego nie mógł zrobić...

— Głupstwo, proszę pani. Ot, zbiegły się dziwnie okoliczności i pozory, mojem zdaniem całkiem mylne, wskazują

na Stefana, jako na sprawcę ohydnej zbrodni. Zapytywałem telefonicznie szeryfa z tamtego powiatu i ten bałwan powiedział, że mają w rękach dowody wystarczające do postawienia Stefana przed sąd i skazania go za morderstwo...

Lubiczowa zbladła i zachwiała się.

— Ale nie ma czem przejmować się, — mówił dalej Sogan. — Postaramy się, żeby sędzia prowadzący sprawę kazał wypuścić chłopca z więzienia i jestem przekonany, że przy pomocy dobrego adwokata Stefan rychło oczyści się z podejrzenia.

— Tylko czy go zechcą wypuścić? Czy zechcą uwierzyć w jego niewinność? — biadała Lubiczowa. — To straszne, panie Sogan...

— Eh, nic tak strasznego w tem nie widzę. Pojedziemy dziś jeszcze do niego, zobaczymy jak sprawa stoi i wydobędziemy go z więzienia. Narazie to najgłówniejsze.

— Jakże wdzięczna jestem panu, że okazuje pan tyle życzliwości synowi i mnie! — mówiła Lubiczowa, spoglądając załzawionemi oczyma na Sogana.

— Takie coś! Za cóż ma pani być mi wdzięczna? Że przyjechałem dziś do pani i chcę jechać razem do Stefka? A cóżbym innego mógł robić, gdy chłopak w opresji? A do tego jeszcze dziś nie mam służby i musiałbym nudzić się w domu.

Zwrócił się do Haneczki i spytał:

— Ale jak pani się tu dostała? Przecież z tego, co Stefan opowiadał, wiem, że była pani u Hardena, gdzieś za miastem, w jego knajpie, jako tancerka. Podobno pilnowali tam panią na każdym kroku...

Haneczka w krótkich słowach opowiedziała wydarzenia ostatnich dwóch dni i wyznała, że uciekła z domu Hardenów, aby spotkać się z Wintersem i Stefanem, i nie spotkawszy ich w umówionem miejscu, poszła do stacji tramwajowej i tam znalazła gazetę, w której doczytała się o zbrodni.

— Ha — rzekł policjant, wysłuchawszy opowiadania dziewczyny, — zobaczymy, co się da zrobić. Czy panie mogą zaraz jechać? Zdaje mi się, że im prędzej, tem lepiej, bo tam martwi się ten biedak za kratami. Jedziemy, co?

Wyszli razem z domu i po dwóch godzinach znaleźli się w biurze szeryfa, przy więzieniu powiatowem.

Sogan zażądał od szeryfa widzenia się ze Stefanem, ale spotkał się z odmowną odpowiedzią.

— To nie zależy ode mnie — rzekł szeryf, spoglądając niechętnie na mundur policjanta. — Sprawa jest w rękach prokuratora i bez jego pozwolenia nikogo nie mogę dopuścić do uwięzionego.

— Ależ tu jest matka tego chłopaka, którego najniewinniej w świecie zamknęliście do więzienia. Spodziewam się, że wolno będzie matce rozmówić się z synem...

— To już niech pan idzie do prokuratora, ja nikogo, ale to nikogo, bez jego wiedzy nie wpuszczę do oskarżonego o tak ciężką zbrodnię.

— Więc pan myśli, panie szeryfie, że ten chłopak rzeczywiście dopuścił się mordu?



Wojna włosko-abisyńska po 7 miesiącach ciężkich i krwawych walk, została zakończona wreszcie zwycięstwem Włoch. Cesarz Abisynji, widząc, że nieuzbrojeni Abisyńczycy nie mogą stawić czoła nowoczesnym formom wojny, zwłaszcza gazom trującym, opuścił swój kraj i udał się narazie do Palestyny, do klasztoru abisyńskiego. Na zdjęciu rozentuzjazmowani Italczycy na Placu Weneckim w Rzymie po otrzymaniu wiadomości o zwycięstwie swoich wojsk.

— Czy tak myślę? Nie sierżancie. Nie myślę, tylko jestem najmocniej przekonany, że to wyrafinowany i okrutny zbrodniarz.

— Proszę, proszę... A cóż to daje panu taką pewność? Bo ja znam tego chłopaka od dziecka i głowę daję, że on padł ofiarą waszej, nie powiem już głupoty, ale omyłki. No, ale skoro nie od pana zależy pozwolenie widzenia się z więźniem, pójdziemy do prokuratora.

— Szkoda waszej fatygi — odparł szeryf, patrząc drwiąco na Sogana. — Wątpię, czy prokurator da panu takie pozwolenie.

— Zobaczymy — odpowiedział Sogan i wyszedł z Lubiczową i Haneczką z biura.

— Strasznie zarozumiały ten wiejski Sherlok Holmes — rzekł na ulicy. — Nie widział chyba nigdy prawdziwego mordercy, jeżeli może utrzymywać, że Stefek zabił człowieka. Zobaczymy co nam powie prokurator.

Na szczęście zastali prokuratora w biurze. Siedział właśnie nad aktami sprawy Stefana i układał piorunujące oskarżenie, które miał wygłosić przed sądem przysięgłych, gdy woźny zameldował mu przybycie matki oskarżonego w towarzystwie sierżanta policji i jakiejś młodej panienki.

Równocześnie zadźwięczał dzwonek telefonu, stojącego na biurku prokuratora.

Przedstawiciel sprawiedliwości zatrzymał skinieniem ręki woźnego i podniósł słuchawkę do ucha.

— Biuro prokuratora — rzekł do aparatu. — Kto mówi?

— Szeryf. Był tu przed chwilą jakiś policjant z New Yorku z dwoma kobietami i chciał koniecznie widzieć się z tym Lubiczem. Naturalnie, że stanowczo odmówiłem i powiedziałem, że to zależy od pana...

— Bardzo dobrze. Nie pozwalać nikomu komunikować się z tym ptaszkiem, chyba, że pokaże specjalne pozwolenie z mojego biura.

— Właśnie poszli do pana i ten policjant jest bardzo pewny siebie. Pozwolił sobie nawet powiedzieć, że popełniliśmy głupstwo, aresztując tego chłopaka, który, jak się zdaje, jest dawnym jego znajomym. Jedna z tych kobiet jest matką oskarżonego, a druga, młoda i ładna, pewno narzeczoną czy kochanką.

— Dobrze. Matka czy nie matka, nie pozwolę nikomu na widzenie. Dziękuję panu.

Zawiesił słuchawkę i zwracając się do woźnego, rzekł:

— Proszę powiedzieć tym ludziom, że jeżeli przychodzą z prośbą o pozwolenie odwiedzenia Stefana Lubicza, to szkoda ich fatygi i czasu, gdyż pozwolenia takiego nie dostaną. Śledztwo jeszcze nie skończone, a zanim będzie ukończone, z oskarżonym może rozmawiać tylko jego adwokat, który jeszcze się nie zgłosił.

Woźny wyszedł i powtórzył Soganowi słowa prokuratora.

— Hm... — odrzekł sierżant — to źle. Ale może pan prokurator zechce mi poświęcić chwilę czasu. Proszę mu powiedzieć, że przyjechaliśmy z New Yorku i rozmowa z nami może się przyczynić do wyjaśnienia tajemniczej zbrodni.

Woźny wszedł z powrotem do biura i po chwili wrócił, mówiąc:

— Pan prokurator jest bardzo zajęty. Jeżeli pan ma co ważnego do powiedzenia, niech pan zaczeka. Za pół godziny pan prokurator przyjmie państwo.

— Poczekamy — odparł Sogan, siadając ciężko na krześle.

— Niech panie także siadają — zwrócił się do matki Stefana i Haneczki. — Musimy czekać. Nie znam tego prokuratora, ale założyłbym się, że to człowiek młody i pierwszy raz na takiem stanowisku. Gdyby miał więcej doświadczenia, — nie kazałyby nam czekać.

Upłynął jeden kwadrans i drugi, a prokurator ciągle siedział w biurze i nie spieszył się z wezwaniem przybyłych. Przez ten czas kilka osób wchodziło i wychodziło z prokuratorskiego przybytku, aż wreszcie Sogan, zniecierpliwiony czekaniem, nie czekając na wezwanie, wstał z krzesła i pomijając woźnego, który chciał go zatrzymać, otworzył drzwi biura i wszedł do pokoju.

Prokurator podniósł głowę od papierów i spytał ostro:

— Kto panu pozwolił wchodzić tu bez pytania?

— Pan prokurator sam powiedział, że mamy czekać pół godziny. Tymczasem upłynęło już blisko dwa razy tyle, a my jeszcze czekamy. Sądziłem, że pan zapomniał albo o nas albo o tem co pan sam powiedział. Jestem więc i proszę o chwilę rozmowy.

Zwrócił się do poczekalni i zawołał:

— Proszę pań. Pan prokurator teraz nas przyjmie.

Zanim prokurator zdziwiony śmiałością policjanta ochłonął, weszły już obydwie kobiety.

— Ha — rzekł urzędnik. — Skoro panie już tu jesteście, proszę mówić, co was sprowadza do mnie. Tylko proszę streszczać się, bo czas mój jest bardzo ograniczony. Uprzedzam, że jeżeli chodzi o pozwolenie widzenia się ze Stefanem Lubiczem, bardzo mi przykro, ale zgóry muszę odmówić.

Zwrócił się do Sogana i mówił dalej:

— Pan powiedział woźnemu, że rozmowa z wami może się przyczynić do wyjaśnienia tajemniczej zbrodni. Jeżeli mowa o zabójstwie Wintersa, sprawa ta jest dla nas jasna w zupełności i nie kryje w sobie żadnych tajemnic.

— Tak pan prokurator sądzi — rzekł Sogan spokojnie. — Ja zaś mam inne zdanie i przypuszczam, że to, co ja i te panie tu powiemy, wpłynie na zmianę pańskiego zdania.

— Zapewniam pana, że nie. Ale słucham, proszę mówić. — Spojrzał na zegarek i dodał:

— Mogę państwu poświęcić piętnaście minut. Ani sekundy więcej. Słucham.

Sogan w prostych słowach przedstawił swój stosunek do Stefana i opowiedział, że znał Wintersa i wiedział, co go sprowadziło do New Yorku.

Prokurator wysłuchał Sogana, spojrzał na zegarek i oznajmił, że wszystko to nic a nic nie osłabia podejrzenia, jakie padło na Stefana.

— Resztę dopowie ta panienka — odpowiedział policjant, wskazując na Haneczkę.

— Tak? Słuchamy dalej. Proszę mówić...

Onieśmielona dziewczyna opowiedziała wszystko co sama wiedziała. Odmalowala swe dzieciństwo, spędzone w domu Hardenów, tęsknotę za ojcem i przyjazd Wintersa.



W Londynie odbywają się w okresie wiosennym ciekawe turnieje wojskowe, podczas których bywa bogato reprezentowany świat kobiecych ubiorów z minionych stuleci. Na zdjęciu widzimy ubiory z przed 350 lat, z czasów królowej Elżbiety.

— Ja sama poradziłam panu Wintersowi, żeby odszukał pana Lubicza, o którym wiem, że chciałby mi pomóc. Pan Winters przywiózł dla mnie od ojca jakieś drogie kamienie, których nawet nie widziałam, ale jestem pewna, że właśnie przez te kamienie przyjaciel ojca został zamordowany. Ale Stefek... chciałam powiedzieć, pan Lubicz... z pewnością nie zabił Wintersa, bo mieli razem przyjechać po mnie na drugi dzień.

Prokurator uśmiechnął się ironicznie.

— No, to co pani mówi, że oskarżony, jest niewinny, trzeba poprzeć dowodami. Dowodami dosyć mocnemi i niewzruszonemi, żeby mogły obalić te, które nagromadziliśmy przeciw Lubiczowi.

— Przyjechaliśmy prosić — odezwał się znów Sogan, — żeby pan pozwolił nam widzieć się z tym biedakiem, którego najniesłuszniej w świecie trzymacie w więzieniu. Ale skoro pan prokurator kategorycznie odmawia nam pozwolenia, zmieniamy rodzaj prośby...

Prokurator spojrzał ciekawie na mówiącego.

— Tak. Nie mogąc widzieć się z panem Lubiczem w więzieniu, — ciągnął Sogan równym, zimnym głosem — prosimy o zwolnienie go z więzienia i postawienie na wolnej stopie...

Prokurator rośmiał się głośno.

— Chyba pan kpi sobie ze mnie — rzekł śmiejąc się. — Człowieka, przeciw któremu mamy niezbite dowody, że jest mordercą, wypuścić na wolną stopę!

— Tak, panie prokuratorze. I mam nadzieję, że prośba nasza zostanie spełniona.

— Być może — odparł prokurator ironicznie. — W każdym razie ja do tego ręki nie przyłożę. Jeżeli pan potrafi wpłynąć na sędziego okręgowego, żeby go kazał wypuścić — urząd prokuratorski zażąda, żeby złożył kaucję w odpowiedniej wysokości, to znaczy najmniej pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Bez tego i sędzia nie będzie mógł zwolnić go z więzienia śledczego.

— Ależ ten chłopak jest niewinny! — zawołał Sogan. — Przekona się pan, że zrobiliście mu straszną krzywdę...

— To się pokaże — odparł zimno prokurator. — Narazie sprawa jego przedstawia się w ten sposób, że grozi mu, jeżeli nie śmierć na krześle elektrycznem, to przynajmniej bezterminowe więzienie.

Otworzył teczkę z aktami i zaczął przeglądać papiery, dając tym sposobem do zrozumienia, że uważa posłuchanie za skończone.

— Trudno — rzekł Sogan do pani Lubicz — musimy iść do sędziego i prosić o zwolnienie Stefana.

Wyszli z biura prokuratora i dowiedziawszy się, który sędzia prowadzi sprawę Stefana, udali się do niego.

Przyjął ich niezwłocznie. Był to człowiek w podeszłym wieku, o niezmiernie sympatycznym i miłym wyrazie inteligentnej twarzy, grzeczny i uprzejmy, w przeciwieństwie do dumnego i opryskliwego prokuratora.

Wysłuchawszy Sogana, Haneczki i pani Lubicz, zamyślił się głęboko i po chwili rzekł łagodnie:

— Ogromnie mi przykro, że nie mogę ułatwić państwu widzenia się z oskarżonym, ale te rzeczy w zupełności zależą od prokuratora. Dam panu jednak jedną radę: niech się pan postara o dobrego adwokata i ten niech drogą urzędową wniesie podanie o wypuszczenie Lubicza na wolną stopę, naturalnie za kaucją. Według ustawy kaucja w takich wypadkach nie może być niższa od pięćdziesięciu tysięcy i choćbym osobiście chciał, — nie mógłbym zarządzić zwolnienia bez złożenia takiej sumy.

— Dziękuję panu sędziemu. Czy możemy dowiedzieć się, kiedy odbędzie się rozprawa?

— W najbliższej kadencji sądowej, to znaczy za trzy miesiące. Teraz właśnie zakończyła się kadencja.

— I ten chłopak musiałby cierpieć niewinnie jeszcze trzy miesiące! — zawołał Sogan. — W takim razie musimy postarać się o adwokata i kaucję.

Po wyjściu od sędziego Sogan szedł zamyślony, nie odzywając się do towarzyszek. Dopiero po kilku minutach odezwał się stanowczo:

— Adwokata dostaniemy dziś jeszcze. Mam kilkaset dolarów w banku i to wystarczy na początek. Gorzej z kaucją, bo pięćdziesiąt tysięcy — to suma, o jakiej w życiu nie marzyłem nawet. Ale spróbuję i o to się postarać. Tylko niech panie nie martwią się i nie płaczą — dodał widząc, że Haneczka skrycie otarła łzy z oczu, a pani Lubicz podniosła chusteczkę do twarzy.

Matka Stefana chwyciła go za rękę.

— Panie Sogan — rzekła wzruszona — czemże potrafię odwdzięczyć się panu za tyle dobroci?... Do śmierci nie zapomnę...

Policjant obruszył się.

— Tylko bez podziękowań — rzekł ostro. — Więc pani chciała, żebym opuścił w nieszczęściu tego chłopaka, którego znam od dziecka? Toć on nie ma przyjaciół, niema nikogo, ktoby ujął się za nim... Zresztą co tu gadać... Jedziemy do New Yorku i angażujemy dobrego adwokata. Tylko wpierw musimy zajść gdzie na obiad, bo głodny jestem jak chart.

Zaprosił je do najbliższej restauracji, gdzie zjedli coś naprędce i wkrótce pojechali do New Yorku.

Na stacji Sogan pożegnał się z niemi i powiedział, żeby jechały do domu, a on tymczasem wyszuka odpowiedniego obrońcę i wieczorem przyjedzie zawiadomić je o wyniku swych starań.

Pożegnawszy kobiety, wyjął książeczkę czekową i sprawdził, ile ma w banku pieniędzy do rozporządzenia.

— Djablo mało — mruknął, przekonawszy się, że całe jego zasoby nie przenoszą pół tysiąca dolarów. — A taki pyskacz każe sobie zapłacić najmniej tysiąc, zanim zabierze się do sprawy.

Zanim jednak upłynęły dwie godziny Sogan już ugodził jednego z najlepszych adwokatów do spraw kryminalnych i po niedługiej z nim naradzie wyruszył na poszukiwanie potrzebnej kaucji.

Wiedział, że sumy tej wysokości nikt mu nie myślał nawet pożyczyć, ale przyszło mu na myśl, że podczas swej długoletniej karjery policyjnej, jeszcze jako prosty policjant, uratował życie synowi miljonowego przemysłowca, który wypadłszy z łódki, byłby się niezawodnie utopił, gdyby nie Sogan. Policjant przejeżdżał właśnie statkiem przewożącym ludzi przez rzekę Hudson, i ujrzawszy tonącego, skoczył do wody i z narażeniem własnego życia wyratował nieprzytomnego już chłopca.

Ojciec uratowanego koniecznie chciał wynagrodzić Sogana znaczną sumą pieniędzy, ale dumny Irlandczyk nie przyjął ani grosza, mówiąc, że spełnił tylko swój obowiązek i zapłaty za to nie przyjmie.

Miljoner wmusił w niego kosztowny zegarek i zapowiedział, że gdyby Sogan kiedykolwiek w życiu potrzebował ja-



Zdjęcie nasze przedstawia nowoodkrytą płaskorzeźbę z 15-tego wieku, wykonaną z gipsu przez jednego z mistrzów holenderskich. Płaskorzeźbę, przedstawiającą św. Jerzego walczącego ze smokiem, oglądają obecnie z zainteresowaniem wszyscy, którzy zwiedzają Muzeum Niemieckie w Berlinie.

kiejś pomocy, ma się tylko zgłosić do niego. Policjant machnął ręką, zegarek wziął niechętnie i zapomniał o całem zajściu.

Teraz dopiero przypomniał sobie ofiarnicę owego przemysłowca i postanowił skorzystać z niej, tłumacząc się przed samym sobą, że to nie dla siebie, ale dla ratowania niewinnego człowieka.

Była już godzina wieczorna, gdy stary sierżant policji zadzwonił do drzwi wspaniałego pałacu na Long Island. Otworzył mu lokaj w bogatej liberji i zapytał, czego sobie życzy.

— Pragnę zobaczyć się z panem tego domu — odrzekł Sogan. — Proszę powiedzieć, że przyszedł sierżant Sogan z policji newjorskiej.

Sługus już miał powiedzieć, że pana niema w domu, ale spotkawszy się z zimnym i dziwnie zdeterminowanym wzrokiem policjanta, nie odrzekł słowa, tylko udał się na górę, aby zameldować przybycie niezwykłego gościa.

Po chwili wrócił i kłaniając się uprzejmie wskazał ręką szerokie schody. Równocześnie na skręcie schodów ukazała się postać właściciela pałacu. Był to człowiek już stary, o siwych włosach i czerstwej, zdrowej twarzy, rozpromienionej w tej chwili wesołym błyskiem szarych oczu i serdecznym uśmiechem powitania.

— Ho, ho, ho! — wołał z góry na widok Sogana — co za gość! A chodźże pan prędzej, stary niedźwiedziu irlandzki, nie czekaj, aż ja zejdę na dół po ciebie!

Sogan uśmiechnął się i zwykłym swoim, powolnym krokiem, pełen godności i powagi wkroczył na schody, gdzie czekała go wyciągnięta prawica pana domu.

— Dzieńdobry, panie Steele — rzekł sierżant, ściskając rękę przemysłowca.

— Przepraszam bardzo, że nachodzę pana, ale...

— Raczej powinien pan przeprosić, że przez tyle lat nie raczyłeś przypomnieć sobie o mnie — odparł Steele. — Corocznie posyłałem panu zaproszenie na moje urodziny i na urodziny tego smyka, którego wyłowiłeś wtedy z wody, djabla irlandzka duma nie pozwoliła ci przyjść do nas.

— Nie śmiałem narzucać się...

Weszli razem na piętro, gdzie gospodarz zaprosił go do wytwornie i bogato urządzonego gabinetu.

— Tu sobie pogadamy — rzekł, naciskając guziczek dzwonka elektrycznego.

W drzwiach pojawił się czarny służący.

— Daj znać pani — rzekł Steele, — że mamy rzadkiego gościa, który zostanie z nami na kolacji i dowiedz się, czy syn jest w domu. Jeżeli jest, poproś go, żeby zaraz przyszedł do mnie.

Murzyn znikł za drzwiami. Steele postawił na biurku pudełko doskonałych cygar i podsunął je ku Soganowi.

Stary policjant czuł się ogromnie skrępowany i onieśmielony uprzejmem przyjęciem i serdecznością bogacza. Na wzmiankę o pozostaniu na kolacji chciał protestować, ale pan domu nie dał mu dojść do słowa i na pierwszą próbę wymówki odpowiedział kategorycznie, że nie puści Sogana przed kolacją, choćby miał go siłę przytrzymać.

— Pierwszy raz przyszedł pan do mojego domu i muszę pana ugościć tak, jak pan na to zasługuje. A zanim nadejdzie pora posiłku, niech pan śmiało mówi, jaki interes sprowadził pana do mnie. Słucham — dodał, wskazując równocześnie na cygara. — Niech pan zapali, ręczę, że będą smakować.

Sogan wziął jedno z cygar, zapalił i puścił kilka kłębów wonnego dymu. Cygaro rzeczywiście było doskonałe.

— Dobre — rzekł. — Bardzo dobre. Aż szkoda palić.

Miljoner uśmiechnął się.

— To jedna z moich słabości — rzekł — Dobre cygaro i dobra stara szkocka żytniówka... Dwie rzeczy, bez których trudnoby mi było obejść się. A może przed kolacją palniemy sobie po jednym? Co? Tak na apetyt...

Wstał i z niewidocznej szafki w ścianie wyjął oplataną butelkę szkockiej wódki i dwa srebrne puharki.

— Muszę ukrywać się z tem — mówił śmiejąc się, — bo moja pani nie pozwala mi pić wcale. Ale ja i tak kropię sobie codziennie po dwa lub trzy takie naparstki. W ręce pańskie, panie Sogan!

Sogan wypił wódkę i czuł się odrazu śmielszym i odważniejszym. Chrząknął, znów pociągnął kilka razy cygaro i zaczął:

— Panie Steele... przyszedłem do pana w wielkiej potrzebie i sam nie wiem, jak to panu powiedzieć...

— Śmiało, śmiało, panie Sogan — zachęcał go miljoner. — Prosto z mostu. Wie pan dobrze, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, dla pana.

Ciąg dalszy w następnym numerze.

MARJA REUTT autorka „Zemsty Cyganki“

Co zazdrość może

ROMANS WSPÓŁCZESNY

7)

— Ach, ta... — odpowiedziała panna Fela po małej chwili jakby przemilczenia, tonem niechętnym i wyraźnie lekceważącym — to, taka sobie pewna sierota po doktorze ze Starokonstantynowa, emigrantka. Przyjechała do kraju bez niczego, bez grosza przy duszy, obdarta — niby panna z pretensjami. Pan rozumie... ale przy tem bez żadnego fachu ani gruntownego wykształcenia. Nie można jej było zostawiać na ulicy... Więc mama moja wzięła ją do domu jako swoją wyręczycielkę...

— Niema jej obecnie u państwa?...

— Już nie — odparła panna Fela głosem cokolwiek ostrym — opuściła wogóle dom nasz blisko rok temu...

Z tonu i miny panny Feli przy całej tej rozmowie Tomasz wywnioskował, że dalsze jego wypytywania się o informacje mogą przynieść niewiele, albo nic, a wzbudzą tylko podejrzenie panny, na której domu zaczęło mu teraz bardzo zależeć.

Zaniechał więc dalszych pytań, ciesząc się jednak w duszy, że nareszcie natrafił na coś realnego, mogącego mu z biegiem czasu przynieść wyjaśnienie dręczącej zagadki. Trzymając się zaś dalej w roli półkonkurenta, któremu panna zaczyna się podobać, pocałował pannę Felę w rękę dość przeciągle i znacząco, dziękując jej za fotografję, którą schował skwapliwie.

Panna przyjęła to łaskawie i resztę dnia spędzono na przechadzce po ogrodzie, na słuchaniu muzyki panny Feli, która widocznie chciała go olśnić wszystkiemi swojemi talentami i zaletami, oraz na wymianie zdań, które mogłyby mieć znaczenie uczuciowe, a mogły także pozostać zdawkowemi „zalecankowemi“ komplementami, jak to zwykle bywa przy zaczynających się „konkurach“...

— — — — — — — —

Gdy późnym już wieczorem Tomasz z matką wracali z Grodziska, pani Szelestowska nie ukrywała wcale swego zadowolenia z tej wizyty i zachowania się Tomasza.

— Cóż Tomuś, musisz przyznać, że ładna panna z tej Feli?

— A niczego, wcale niczego... — odpowiedział Tomasz, zresztą daleki sercem i myślą od przedmiotu tej rozmowy.

Lecz matka, w swój cel zapatrzona, wzięła tę zdawkową pochwałę za objaw wstydliwie ukrywanego a rodzącego się uczucia i była zupełnie zadowolona...

* *

Tak szczęśliwym przypadkiem odnalazłszy ślad Wandy, Tomasz postanowił nie spuszczać go z oczu. To też stał się dość częstym gościem u państwa Mielczarkiewiczów, zarówno w ich willi w Grodzisku, dopóki trwało lato, jak jesienią w mieszkaniu w Warszawie przy ulicy Foksal, dokąd przenieśli się z letniska. Podtrzymywał fikcję konkurów czy zalotów, nieskrystalizowanych zresztą jeszcze i nie posuwających się poza granicę, z za której nie możnaby się było cofnąć...

Przychodziło mu to dość trudno, ponieważ panna Fela czyniła mu dość wyraźne „awanse“. Na powitanie Tomasza wykwitały na jej ustach zachęcające uśmiechy, a na twarzy zjawiał się rumieniec, który świadczył, że uśmiech i zadowolenie, z jakiemi go witała, były szczere.

Rozpoczęło się między nimi to, co się zwykle nazywa flirtem, a w czem przeważnie biorą udział tylko zmysły, przelotnie podrażniane. Nieuniknioną jednak tego konsekwencją było coraz większe wciąganie się w tę grę także i Tomasza, wbrew jego pierwotnym zamiarom i istotnym intencjom.

Szukając dalej swojego „śladu“, zachęcał pannę Felę do pokazywania mu albumów amatorskich zdjęć, z których pierwszy wywołał między nimi takie zbliżenie. Panna Fela zaś mniemając, że jest to jakaś jego pasja, znosiła mu wszystkie zdjęcia, jakie miała. Oglądając je razem, siadywali długo obok siebie na małej, miękkiej, niskiej kanapce. Nieodstępny foxterierek panny Feli, Mikuś, przyglądał się im dobrotliwie, a panna Fela nie unikała jak największego zbliżenia.

Tomasz nie mógł przed sobą samym ukryć, że zbliżenia te oddziaływały i na niego. Panna Fela była, jak już wyżej powiedziano, ładna, dość oryginalną urodą, ponętną, swobodna. Lekkie toalety uwydatniały jej wdzięki. Niejednokrotnie zbliżanie się do niej, dotyk jej nagiego ramienia, muśnięcie włosów, poczucie bliskości, wzbudzało w nim iskry pożądania. W takich chwilach niemal zapominał o głównym swym celu.

— — — — — — — —

Było to pewnego popołudnia, gdy panna Fela pokazywała mu zdjęcia zeszłoroczne, do których wydobycia z zapomnianej szuflady skłonił ją żartobliwem a podstępnem oświadczeniem, że jest zazdrosny wobec niej o przeszłość, że chciałby poznać jej życie przed znajomością z nim.

Natrafili na jakąś paczkę, którą panna Fela dość lekceważąco odsunęła ręką.

— Oho, tu pani ukrywa coś przede mną...

Panna Fela, rozpromieniona tak widocznym objawem zainteresowania, pospieszyła go uspokoić:

— Ach, to tylko zdjęcia z domu i okolicy — jeżeli pana to interesuje, to proszę przeglądać...

Tomasz zaczął przerzucać fotografje, z których jedna naraz zajęła silnie jego uwagę:

Na fotografji tej stał na trawniku foxterierek Mikuś, a obok niego jakaś sylwetka dziewczęcia, pochylonego i trzymającego psa ręką za obrożę. Twarzy dziewczyny na zdjęciu nie było widać, ale zarówno cały rysunek figury, jak kostjumik skromny, przypomniał mu żywo scenę, którą ongiś jeszcze przed wyjazdem do Brazylji, widział w parku w Łazienkach. Czyżby to znowu była Wanda? Chcąc dowiedzieć się, czy przypuszczenie jego jest słuszne, opowiedział pannie Feli ów łazienkowski epizod z pieskiem i dziewczyną, starając się go przedstawić od strony komicznej, jakby ta wyłącznie utrwaliła mu ów epizod w pamięci.

Ale panna Fela nie odpowiedziała śmiechem na to opowiadanie. Widać było, że to wspomnienie wydaje się jej nietyle zabawnem, co nieprzyjemnem ze względu na osobę, która w niem występuje. Brwi jej ściągnęły się niechęcią, w oczach zamigotał wyraz nieprzyjemny i nieprzyjazny. Głosem pełnym niechęci odpowiedziała:

— Tak, to naturalnie była Wanda, to bardzo do niej podobne... Zawsze miała głowę nabitą układaniem jakichś romansowych zdarzeń, intryg i zabaw, a nie myślała o swoich obowiązkach...

Tomasz jednak nie zważał na niechętny ton panny, lecz był przedewszystkiem zadowolony sprawdzeniem się jego przypuszczeń. Sprawa zaczęła się dla niego szybko, choć w sposób nieco zawikłany wyjaśniać. Teraz rozumiał, dlaczego zaraz przy pierwszem spotkaniu na statku twarz Wandy wydała mu się tak dziwnie znajoma. Utonął myślą we wspomnieniach...

Jednakże mimowolne spojrzenie na twarz panny Feli, na jej ściągnięte brwi, usta zacięte niechęcią, surowy, dziwnie ostry wyraz oczu przywróciły go szybko do rzeczywistości i przytomności. Oderwał się myślą od wspomnień, ale nie mógł spowrotem nawet zmysłami przylgnąć do tej, która jeszcze przed chwilą budziła w nim pożądanie. Nagle ujawniona w jej twarzy pospolita złośliwość odepchnęła go gwałtownie od panny Feli. Wszystko, co przelotnie poczuł dla niej, ostygło, jej uroda, jakby zszarzała i przestała go pociągać. A bijąca z niej wyraźnie niechęć

do Wandy nawet nieobecnej, dążenie do poniżenia jej w jego oczach, tem większą falą czułości, wzmożonej przez skruchę, zalała jego serce. Tajemnica, otaczająca Wandę jakby zagęściła się znowu — ale tembardziej powiększała się chęć Tomasza do jej rozwiania i odsłonięcia za każdą cenę...

* * *

Mówią, że świat jest mały...

I rzeczywiście, wydaje on się nam takim, gdy niespodziewanie na Nowym Świecie lub Marszałkowskiej spotykamy „gościa", któregośmy poznali w Brazylji lub w Argentynie, gdy w Nicei spotykamy się ze znajomym z Chicago, albo, gdy na krakowskiej Linji A-B witamy się z autentycznym Hindusem, który stale mieszka w Gwaljor koło Delhi, a z którym poznaliśmy się w Londynie przy sposobności wystawy w Wembley. Zwłaszcza, gdy tych znajomych raczej chcielibyśmy uniknąć z jakiegokolwiek powodu, gdy naprzykład byli oni świadkami naszych awanturek gdzieś daleko w świecie, awanturek, które na warszawskim bruku mogą opowiedzieć nieprzygotowanym uszom...

Kiedy jednak człowiekowi chodzi naprawdę o spotkanie drugiego człowieka, na którym zależy nam bardzo, którego odnalezienia pożądamy — przekonywujemy się z niemiłem zdziwieniem, że świat jest niesłychanie olbrzymi, większy w stosunku do jednostki ludzkiej, niż przysłowiowy stóg siana w stosunku do igły. Nawet dowiedzieć się czegoś o człowieku, który zginął nam z oczu w dziwnych lub tragicznych okolicznościach, jest trudno, czasami wprost niepodobna.

Tego właśnie poczucia ogromu świata i uczucia bezradności swojej w poszukiwaniach, doznawał Tomasz. Wprawdzie początkowa rozpacz jego po stracie Wandy jakby przygasła, ostrze cierpienia straciło swoją ostrość, jakby cofnęło się w głąb duszy — ale nie przestawał on pragnąć dowiedzenia się czegoś o Wandzie, choćby jakiegoś szczegółu jej dawnego życia, jakiegoś dowodu jej istnienia przed katastrofą, która ich rozdzieliła.

Liczył na to, że gdy przyjedzie do Polski, będzie to o wiele łatwiejszem, gdy zaś natrafił na ślad, choć wątły, w postaci fotografji Wandy u państwa Mielczarkiewiczów, zdawało mu się, że teraz dojście po tej nitce do kłębka będzie łatwe. Ale spotkało go rozczarowanie.

Bywał prawie jako codzienny gość u państwa Mielczarkiewiczów, podtrzymując fikcję swych powściągliwych konkurów do panny Feli, bywał dlatego, że w ich domu na przyjęciach przewijało się wiele osób z różnych sfer towarzyskich. Miał nadzieję, że od którejś z nich czegoś się przecież dowie ostrożnie i umiejętnie. Nadzieja ta jednak zawiodła go. Od osób, które znał, z któremi mógł mówić obszerniej, nie dowiedział się jakoś niczego — ludzi świeżo poznanych, obojętnych, nie śmiał wypytywać szczerze.

I tak przeminęła jesień z dniami szaremi, dżdżystemi, ponuremi, nadeszły krótkie choć słoneczne dnie zimowe, a poszukiwania Tomasza nie posunęły się naprzód. Ale przecież od czasu do czasu zdarzały się jakieś okruchy informacyj — i nadziei...

— — — — — — — —

Pewnego dnia Tomasz umówił się z jednym z kolegów do kawiarni Ziemiańskiej. Tomasz przyszedł punktualnie, ale Wacka, tak się nazywał ów kolega, nie było. Rozglądając się za miejscem po szczelnie wypełnionej cukierni, Tomasz przysiadł się do jednego ze stolików, przy którym siedział tylko jeden starszy pan, znany mu dość z daleka, lecz zresztą jako przyjaciel domu państwa Mielczarkiewiczów i ich częsty gość.

Owego starszego pana i starego kawalera, pana Domańczaka, Tomasz spotykał w domu przemysłowców najczęściej na obiadach. Starszemu panu z pociągu do uciech życiowych pozostało tylko zamiłowanie do dobrej kuchni i dobrego wina, względnie innych dobrych szlachetnych napojów. Było to zresztą zamiłowanie nie przekraczające miary — ale pana Domańczaka znano z tego, znał i Tomasz. To też, usiadłszy przy nim, poprosił pana Domańczaka o pozwolenie zaproponowania mu oryginalnego francuskiego likieru do czarnej kawy, przy którym to likierze język starszego pana „rozwiązał się". Wtedy tutaj, na neutralnym terenie, gdzie nie kontrolowało go ucho panny Feli, Tomasz mimochodem w rozmowie o domu państwa Mielczarkiewiczów zapytał, czy nie przypomina sobie niejakiej panny Wandy Fiszer.

— Wandy... — Tak, zaraz — rzeczywiście przypominam sobie — mówił pan Domańczak — przez jakiś czas widywałem przy stole u nich młodą panienkę, podobno siostrzenicę pani domu, na którą wołali „Wanda". Było to ładne stworzenie, ciche i skromne. Któregoś dnia zniknęła, niewiadomo gdzie, niewiadomo jak i nie wiem, co się potem z nią stało. Ponieważ państwo Mielczarkiewicz nigdy o niej przy mnie nie mówili, więc się nie pytałem, bo zresztą zwykle nie wtrącam się w cudze sprawy...

A więc przecież jakaś wiadomość. „Ładna, cicha, skromna" — o, bardzo sympatyczny jest ten pan Domańczak, nawet nie myślałem... — powinienby jednak jeszcze dodać — „i dumna"...

— — — — — — — —

Innym razem Tomasz wpadł, nie szukając zresztą, na trop jeszcze wyraźniejszy, którego forma choć nie sprawiła mu przyjemności, ale który dał mu sporą garstkę informacyj wcale ciekawych.

Było to na przedstawieniu baletu „Twardowski". Tomasz dość pilnie patrzył na scenę, gdyż kompozycja i dekoracja utworu bardzo go zajęły ze strony artystycznej. Tak zajęty, nie spostrzegł siedzącej w sąsiednim rzędzie jakiejś dobrze starszawej, lecz równie dobrze pretensjonalnej, eleganckiej damy, która podczas przerwy sama zwróciła się do niego.

Zainterpelowany Tomasz w pierwszej chwili już chciał zrobić zdziwioną minę — ale w porę się powściągnął, przypominając sobie szybko swoją rozmówczynię. Była to jedna z licznych dalekich „ciotek" panny Feli, chętnie mówiących o swej siostrzenicy, wogóle typ gadatliwej kumoszki, to też po niedługim czasie sama skierowała rozmowę na Felę.

— Ach, proszę pana, ta Fela to rzeczywiście śliczna i dobra dziewczyna. Pociągająca, mówię panu... niema kawalera, któremuby się nie podobała... No, i byłaby już dawno wyszła zamąż i jakie świetne partje jej się trafiały! gdyby nie ta intrygantka Wanda...

Tomasz aż drgnął na dźwięk tego imienia, ale udając zdziwienie, zapytał:

— Wanda?... co za Wanda??...

— Ach, prawda — pan nie znał tej dziewczyny. No, nie ma pan czego żałować — to była krewna pani Mielczarkiewiczowej po matce, córka lekarza, który zginął na wojnie... Mieszkała potem z matką we własnym domu w Hrycowie na Wołyniu, ale potem przyszła, proszę pana, rewolucja, za bolszewików umarła jej matka, a później Wanda przyjechała do Polski i pani Mielczarkiewicz w swej dobroci przygarnęła ją do siebie, na własną potem szkodę...

— A cóż takiego, proszę pani, ta Wanda zrobiła? — pytał Tomasz w dalszym ciągu obojętnie napozór, niby tylko dla podtrzymywania rozmowy.

Pani Weynowa, gdyż tak się nazywała owa ciocia, jak sobie Tomasz przypomniał, złożyła ręce ruchem oburzenia:

— Nie ma pan nawet pojęcia! To był jakiś szatan w ciele... no, nie powiem anioła, ale w każdym razie w ciele, które robiło przyjemne wrażenie... Niegodziwa dziewczyna. Jak ona to robiła, proszę pana, to niewiadomo, ale gdy tylko zjawiał się jaki konkurent do Feli, ta Wanda, taka napozór nieśmiała, słowa się nie odzywająca, tak niewidocznie jakoś kokietowała go, że ten po niejakimś czasie zaczynał z nią flirtować, zamiast z Felą... Pod no-

sem państwa Mielczarkiewiczów, proszę pana, pod nosem swoich dobroczyńców...

...O, pamiętam bardzo dobrze — ciągnęła pani Weynowa dla nabrania tchu — gdy w roli starającego się o Felę zaczął bywać u państwa Mielczarkiewiczów młody Jerzy Krotoski... Szalał, proszę pana z początku, szalał wprost, mówię panu, za Felą, a tu nagle Wanda zastosowała swoje sztuczki, niby to niewinne, a takie jakieś skuteczne, nagle między Jerzykiem a Wandą zawiązał się flirt. Zaczęły się spotykania na mieście, umawianie schadzek... No, ta niegodziwa dziewczyna nawet dobrze z nim trafiła, bo to był uczciwy chłopiec, z dobrego domu... Gdy Fela, słusznie urażona w swej dumie temi zalecankami do przybłędy, odsunęła się od niego, Krotoski nawet zaręczył się z Wandą i miał się z nią już żenić. Byłaby to dla niej partja, proszę pana, bo to człowiek przystojny, bogaty, ale...

W tej chwili jednak podniesiono kurtynę, ktoś z tyłu syknął niecierpliwie i pani Weynowa, której monolog plotkarski celowo przez Tomasza mało przerywany, trwał przez całą przerwę, musiała sama skolei przerwać swoją opowieść.

COŚ SIĘ ODSŁANIA...

Oczywiście, że dalszy ciąg przedstawienia zupełnie nie interesował Tomasza. Czekał on niecierpliwie tylko końca aktu, gdy w przerwie będzie mógł słuchać dalej zwierzeń rozgadanej cioci. Ta, ucieszona, że znalazła tak wdzięcznego słuchacza, ciągnęła dalej swoje opowiadanie o zbrodniach Wandy.

— No i niech pan sobie wyobrazi, że mało jej było Jerzyka Krotoskiego, Pannica upatrywała sobie kogoś lepszego, oczywiście przedewszystkiem pod względem finansowym. W domu państwa Mielczarkiewicz zjawił się jakiś młody krezus z Brazylji, wprowadzony do nich przez przyjaciela rodziny, dawnego naszego konsula brazylijskiego. Na tym Brazylijczyku także oczywiście przedewszystkiem Fela zrobiła wrażenie. Lecz Wanda i tutaj zaczęła stosować swoje sztuczki. Niech pan sobie wyobrazi, że na tym świecie to zawsze jest tak: porządna, dobra, uczciwa dziewczyna nie ma szczęścia, a do takiej, która nie krępuje się niczem, wszyscy lgną jak do miodu. Otóż i Brazylijczyk przyrzekł tej Wandzie, że się z nią ożeni...

I znów dzwonek zwiastujący rozpoczęcie nowego aktu, przerwał zwierzenia.

Tomasz miał nadzieję, że czegoś więcej jeszcze dowie się od gadatliwej cioci. Ale ponieważ po następnym akcie zakończyła się sztuka, zaczął się natomiast zwykły teatralny wyścig z widowni do szatni i do wyjścia, w którym i on z panią Weynową mimowoli wziął udział, rozmowy spowrotem nie udało się nawiązać.

Zresztą obfitomówna niewiasta widocznie wyczerpała swoją energję, była zmęczona i senna, a po namyśle Tomasz stracił również ochotę prowadzenia dalszej indagacji. W drodze powrotnej z teatru na ulicę Radną, gdzie pani Weynowa mieszkała z siostrą, sama ona nie wspomniała ani słowa o Wandzie, a Tomasz też nie wypytywał.

Było mu dziwnie przykro i niewyraźnie na duszy. Serce wprawdzie nie chciało poddać się, zachowując obraz Wandy taki, w jakim ją pokochało, ale mimo to świadomość nie mogła odepchnąć ujemnego wrażenia słyszanej plotki. Źle spał tej nocy i wciąż rozmyślał. Czyżby rzeczywiście jego ukochana, jedyna Wanda, której obraz tchnący niewinnością i wzniosłością uczucia tkwił mu w pamięci, miała być taką zwykłą wyrafinowaną, wyrachowaną kokietką?

No, niewątpliwie ta Weynowa dużo dodaje i przesadza, te stare baby nie mają miary w plotkowaniu — ale przecież musiało być coś na dnie tego wszystkiego gadania. Bez żadnej podstawy nie mogłaby wszystkiego wyssać sobie z palca. Nawet niektóre fakty się zgadzają — tego krezusa brazylijskiego nie mogła przecież gadatliwa ciocia sobie wymyślić, a Wanda faktycznie jechała do Brazylji... I fakt, że nie chciała mówić o swej przeszłości i drugi fakt, że mówiła, iż jej kochać już nie wolno... Nawet opryskliwa niechęć panny Feli do Wandy, która przedtem tak go raziła, zdała mu się teraz bardziej usprawiedliwioną...

— — — — — — — —

Nie pozostało to nawet bez wpływu na zachowanie się Tomasza na drugi dzień wobec panny Feli podczas wizyty. Urodna panna znowu zaczęła na niego działać, przychylniejszem okiem oceniał jej postać, twarz i całe zachowanie się. Może nawet byłby dał swym żywszym dla panny Feli uczuciom jakiś wyraz — pod wpływem nastroju chwili — któregoby później musiał żałować, gdyby nie to, że ich niedługie sam na sam przerwała wizyta jakiejś znajomej...

— — — — — — — —

I zaraz po wyjściu opanowała go refleksja skruchy. Prawda, Wanda nie żyje. Ostatecznie serce o wszystkiem zapomnieć może, zagoić dawne rany i rozkwitnąć na nowo nowem uczuciem, ale czyż dlatego musi jednocześnie obarczać pamięć słodkiego, niewinnego dziewczęcia jakiemiś ujemnemi opinjami o niej starych plotkarek?...

Kto wie, skąd ciotka Weynowa nabrała tych swoich bajdur, kto wie, czy to wszystko, co mówiła, pochodziło z jej własnych obserwacyj, czy też poprostu było tylko echem tych wszystkich ujemnych sądów, jakie wypowiadały o Wandzie panna Fela i jej matka? Podyktowała je widoczna niechęć, nawet nienawiść do biednej dziewczyny, która w jakiś nieznany mu sposób stanęła na drodze ich planom...

— — — — — — — —

Czas jednak wszystko zaciera, wszystko zawleka mgłą niepamięci, bieg wydarzeń robi miejsce nowym uczuciom, nowym wrażeniom...

Zaczął się karnawał i to hucznie, wspaniałym balem sylwestrowym w resursie kupieckiej. Na bal ten oczywiście Tomasz towarzyszyć musiał pani i pannie Mielczarkiewicz.

Czynił to zresztą bez przymusu, a nawet z pewnem uczuciem zadowolenia swej miłości własnej, gdyż panna Fela, której okazałość urody podnosiła piękna złota suknia koronkowa, wyróżniała się nawet w strojnym tłumie balowych piękności, zwracała na siebie uwagę, co odbijało się i na jej towarzyszu.

W Tomaszu obudziła się zwykła męska próżność, mile pogłaskana, tembardziej, że panna Fela, aczkolwiek dotąd mowy o oświadczynach między nimi nie było, traktowała go wyraźnie, jako prawie swego narzeczonego. Tomasz nie zauważył, że tu i ówdzie jakieś towarzystwo obrzucało ich oboje dyskretnemi, lecz domyślnemi spojrzeniami, którym towarzyszyły dość złośliwe uśmiechy i szepty starszych dam.

— Aha, panna Fela na nowem polowaniu. — No, może jej się tym razem powiedzie. Wandy niema, to przecież może jej się wreszcie uda wydać zamąż...

— — — — — — — —

Tomasz naturalnie uwag tych nie mógł słyszeć. Panna Fela ofiarowała mu wiele tańców, tak wiele, jak tylko wypadało. W czasie tańca czyniła mu wyraźne awanse, wyzyskując zbliżenie taneczne, którego Tomasz zresztą nie unikał. Nie mógł się zaprzeć przed sobą, że ogarnia go podniecenie pożądania. W szale nocy balowej był o włos od tego, aby poczuć się „zakochanym" w pannie Feli...

Postanowił tej niepewnej sytuacji położyć kres. Ostatecznie matka tak go napierała, że nie da mu spokoju. Ta, albo inna — czyż nie wszystko jedno? Przecież przed nim leży jeszcze całe życie, którego nie może spędzić samotnie.

(Ciąg dalszy w nast. numerze)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

ADRESY

Jeszcze raz przypominamy jak najuprzejmiej, że do listu wysyłanego za pośrednictwem redakcji, należy zawsze dołączyć 25-groszowy znaczek.

Równocześnie prosimy bardzo o nadesłanie adresów następujące osoby: „Leśna Boginka" — „Lili" i „Lidka" — „Ananke" — „Syn Dniestru" — „Spragnione Serce" — „Krater II" — „Czarnobrewa Iga" — „Czerwony Koral" — „Well" — „Zapomniana Sylena" — „Nieszczęśliwa" — „Aloha" — „Lutek" — „Wesoły Łobuz z Warszawy" — „Dziewczę z Pomorza" — „Wesoła Ślązaczka" — „Elżunia"

JESZCZE O NIEROZWIĄZANEJ ZAGADCE

„Augustowianka." Kilka słów Pani, skreślonych na pocztówce — odebrałam! Widzę, że rozwiązanie upartej zagadki, nie nęci już Panią. „Nic nie wiem i chyba już wiedzieć nie będę" — pisze mi Pani zrezygnowana. Dlaczego? Trochę dobrej woli, a dojdzie Pani po nitce do kłębka. Czy nigdy Panią nie pociągało odkrycie tajemnicy, a niepowodzenie w rozwiązywaniu tem więcej nie zapalało i nie podjudzało do dalszych wysiłków?"

Na zakończenie odpowiedzi pozdrawiam w imieniu Pani: „Elżunię z Torunia", „Dziką Cygankę" i „Marzyciela z pod Kościana". „Małeńkiego Czupigrałę" i „Samotnego Roma" zapytuję, czy nie zechcieliby nawiązać z Panią korespondencji.

ODPOWIEDŹ NEGATYWNA

„Dzielna Trójka". Do „Krainy" przyjmuję Panów z miłą chęcią i cieszę się, że nasz zastęp powiększył się znowu o trzy osoby. Co do adresów, daję Panom odpowiedź negatywną. Jak już tyle razy pisałam, nie zdradzam nigdy nazwisk moich Sympatyków. Koniec końców będą więc zmuszeni Panowie napisać listy do wymienionych przez siebie Pań i nadesłać na moje ręce, abym je mogła przekazać dalej.

Przykro mi niezmiernie, że już na pierwszy list daję Panom odmowną odpowiedź, ale mam nadzieję, że będzie mi to darowanem. Zresztą, „Dzielna Trójka" musi odpowiedź moją przyjąć dzielnie, aby nie przynieść ujmy swemu pseudonimowi, prawda? Bywajcie, Drodzy Sympatycy i napiszcie do mnie znowu!

WIOSENNE POZDROWIENIA

„Blanka". Dziękuję Ci, „Blanko", za piękne „wiosenne" pozdrowienia. Odwzajemniam się serdecznym pocałunkiem. Nad podanym projektem zastanowię się. Konkurs już zorganizowaliśmy i dzisiaj podajemy warunki. Polecenie wypełniam:

„Hallo! „Szara Dziewczynko!" może zechcesz do mnie napisać pierwsza. Bardzo się ucieszę i odpowiem długim, wyczerpującym listem. Wszystkich Sympatyków „Krainy", smutnych i wesołych, proszę nadal o pamięć. Zasyłam Im również pierwsze, wiosenne pozdrowienia.

PRZECZUCIA — OMYLIŁY

„Kuna Leśna". Przeczucia Panią omyliły. Nie jestem tą, za którą mnie Pani wzięła. Tajemnica... pozostanie nadal nierozwiązaną!

Jak wnioskuję z listu, przebywa Pani obecnie niedaleko Żnina, może więc Pani zjawi się w pierwszy lepszy dzień w redakcji? Proszę bardzo! Chętnie zamienię z Panią kilka słów... A teraz oddaję głos Pani...

„Borusowi Nadbrdziańskiemu" i „Lisowi" dziękuję za milutkie pozdrowienia, które odwzajemniam. O ile Panowie Ci zainteresowali się mną, niech skreślą do mnie kilka słów. Odpowiedź murowana!"

ZAMIESZCZAM

„Marusia" i „Zonia". Pseudonimy Pań bardzo mi się podobają, jednakże same pseudonimy nie wystarczą, muszą mi Panie także nadesłać swoje adresy, gdyż nie wiedziałabym, dokąd przekazać korespondencję.

Urywek z listu wesołych i miłych Dziewczynek zamieszczam, temwięcej, że mnie o to tak ślicznie proszą:

„Marusia" i „Zonia" to dwa wielkie łobuzy. Obydwie jesteśmy ciemnemi blondynkami, średniego wzrostu. Kochamy bardzo muzykę i same jesteśmy muzykalne. Uprawiamy także sport. Pochodzimy ze Śląska. „Marusia" zainteresowała się „Maronem", zaś „Zonia" — „Tam-Konradem". Chętnie odbierzemy od wymienionych Panów listy. Przesyłamy dla nich pozdrowienia. Osobne: „Heli" i „Anieli" — „Smutnej Steni" — „Zawiedzionemu" — „Pacolowi" — „Ramzesowi" — „Natanowi" — „Smutnemu Kaszubowi."

„MOŻE ZNAJDĘ BRATNIĄ DUSZĘ"...

„Tamara". List Pani taki bardzo prosty i miły, zamieszczam w całości. Może ktoś odpowie na niego echem?

„Puk! puk! Czy można? Wchodzę — i zdaje mi się, że niejeden doznał na mój widok niemiłego rozczarowania. Jestem już starsza, (26 lat), lecz pomimo wieku, serce moje jest młode i czyste jak łza. Muszę zaznaczyć, że nie lubię dancingów i lokali, wolę stokroć spacery na wolnem powietrzu i jazdę łodzią po jeziorze. Może znajdę jakąś bratnią duszę, która zechce mi towarzyszyć w samotnych spacerach? O ile tak, niech napisze na poste-restante, Starogard — Pomorze 106, dla: „Tamary".

ZGODNIE Z ŻYCZENIEM...

„Marzyciel z pod Kościana". Wiosna nie dla każdego jest łaskawą... ale, jeżeli chodzi o Pana, nie można tego powiedzieć. Wiosna daje Panu wiele: pracę, radość i zadowolenie. List Pana promieniuje wprost od szczęścia — cały jest rozśpiewany wiosną. Życzę Panu obfitych plonów z pracy i ślę serdeczny uścisk dłoni. Zakończenie listu Pana, zgodnie z życzeniem, przedrukowuję:

„Bardzo dziękuję za pozdrowienia „Marzycielowi z Czerniejewa". Odwzajemniam je w pełni. Hej! „Marzycielu z pod Mogilna", przyjm ode mnie moc pozdrowień! Czyś już o mnie zapomniał, że tak długo milczysz?

Specjalne pozdrowienia zasyłam: „Augustowiance" — „Dzikiej Cygance" i „Nieznanej Iwonce."

KILKA SŁÓW O WIOSNIE

„Zawisza Czarny". W ostatnich dniach otrzymuję wiele słonecznych listów, mało — nawet poetycznych. A wszystkiemu winna wiosna! Ona to sprawia, że każdy smutek dziwnie łagodnieje i przygasa, a w sercu rodzi się moc nadziei i lepszych myśli. Równocześnie z budzącą się naturą, powstaje i w duszy nowe życie. Patrzymy w przyszłość jaśniej i pogodniej! Tę radosną wiarę, którą daje życiodajna wiosna, wyczuwam ostanio w listach moich Sympatyków. Coraz mniej w nich jest skarg i żalu, a zato więcej uśmiechów i słońca. Jednym z takich listów, był także list Pana, „Zawiszo Czarny"... Cieszy się Pan wiosną, urządza wycieczki do lasu i rozkoszuje na spacerach pięknem budzącego się życia przyrody — przyjemności! jak najwięcej przyjemności — życzę Panu! I może podzieli się Pan skimś swojemi wrażeniami? Tyle Sympatyczek i Sympatyków czeka w „Krainie" na liściki...

ZAPYTANIE

„Eros" zasyła serdeczne pozdrowienia „Tycio-Tyciusieńkiej" — „Ryśce M". i „Blondynkowi z Pałuk". Równocześnie zapytuje, czy „Ryśka M". nie poświęciłaby Mu jednego z swych utworków?

SŁOWA PANA ZAWSZE MNIE ŻYWO INTERESUJĄ...

„Gwidon". Listy Pana nie zaginęły — o tem zresztą się Pan już przekonał, prawda?

Co do pisania wierszy, radzę się Panu tą sprawą nie przejmować. Jest przecież tyle innych ważniejszych rzeczy do zrobienia w życiu, niż pisywanie poezji. Jeżeli Pan posiada dużo czasu i chciałby go jakoś zużytkować, może Pan zająć się na prz. filatelistyką, kolekcjonowaniem pocztówek z widokami różnych miast i krajobrazów Polski, które następnie może Pan przesłać do użytku Związku Opieki nad Rodakami Zagranicą w Poznaniu, dalej, może Pan korespondować z żołnierzami Legji Cudzoziemskiej (adresy podam bardzo chętnie!) i w ten sposób połączyć piękne z pożytecznem. Radzę się Panu nad tem zastanowić — cel dobry i wartościowy. Pisywanie wierszy może Panu przynieść bardzo mało zadowolenia, a może wogóle, zaś podane przezemnie projekty mogą Panu przysporzyć niecodziennych wrażeń i wiele satysfakcji. Ściskam Panu na pożegnanie dłoń i proszę Pana o zaniechanie wszelkich skrupułów dotyczących pisania listów do mnie. Słowa Pana ani mnie nie nudzą, ani nie zniechęcają, przeciwnie, zawsze żywo interesują. Chyba mi Pani wierzy?

POZDROWIENIE Z NAD POLSKIEGO MORZA

„Samotna Konwalja." Dziękuję Pani za miłe wiadomości nadesłane z Gdyni. Czy długo ma Pani zamiar tam pozostać? Zasyłam Pani serdeczne uściski i zgodnie z prośbą Pani zamieszczam załączony apel:

„Hallo! „Konwaljo"! Dziękuję Ci za pozdrowienia i w pełni je odwzajemniam. Jeżeli chcesz do mnie napisać, Kochana Dziewczynko, to proszę zaadresuj list następująco: M. v. B. Kielno (Pom.) — zajazd, a list bez wątpienia zostanie mi doręczony. Serdeczne pozdrowienia z nad polskiego morza dla wszystkich Sympatyków „Krainy".

SZCZEROŚĆ...

„Stokrotka Polna". Liścik Twój, „Stokrotko", był dopiero pierwszym listem do mnie i niejako wstępem do wzajemnego poznania się i nawiązania przyjaźni. Zwróciłaś się do mnie bardzo prosto i miło i to mnie właśnie ujęło. Odtąd możesz się do mnie odnosić z całem zaufaniem, jak do osoby bliskiej i zaufanej, a nie zawiedziesz się.

„Jestem wysoką blondynką o szarych, wiecznie roześmianych oczach, w oprawie czarnych, długich rzęs. Jestem sobie taką niezbyt brzydką dziewczynką, a przedewszystkiem wesołą. Kocham wszystko, co piękne i dobre. Uwielbiam brunetów z czarnemi oczyma. Ogromnie chciałabym otrzymać od jednego z nich liścik. Odpowiedź murowana!"

Szczerość Pani jest rozbrajająca. Chyba nikt się nie zgorszy tem, że „uwielbia" Pani brunetów, lecz przeciwnie — będzie zachwycony tem szczerem wyznaniem. Pozdrawiam Panią jak najserdeczniej i dziękuję Pani w imieniu Wujka Janusza za pamięć.

ODPOWIEDŹ...

„Dziewczę z Kujaw". „Kim Pani jest? Dlaczego osoba Pani jest osłonięta mgłą tajemnicy?" — pytasz mnie Dobra, Słodka Dziewczynko. Nie będę Ci pisała, jakiego koloru posiadam włosy, ani jakie są moje oczy, powiem Ci tylko krótko, że jestem jeszcze młodą, kocham świat i ludzi i nic mnie tak nie wzrusza, jak dobroć. Kocham również takie młode, wrażliwe na piękno duszyczki, jak Twoja.

Śliczny był Twój ostatni liścik, Dziewczynko Droga. Wzruszył mnie głęboko. Pisz jak najczęściej! Na zakończenie, zgodnie z Twojem życzeniem, przesyłam Ci mój życzliwy, serdeczny uśmiech. Oddaję także, załączone przez Ciebie pozdrowienia, wraz z prośbą o liściki — „Jadzi Leśniczance" i „Szarej Dziewczynce."

MOŻE NADEŚLE MI PANI INNE WIERSZYKI?

„Aleksandra z Warlubia.“ Życzeniu Pani uczyniłam zadość. Ostatni list Pani był bardzo krótki. Wspomina Pani w nim coś o zmianie posady, jednakże tak jakoś tajemniczo, że to mnie zaabsorbowało i dzisiaj proszę Panią o podzielenie się ze mną całą sprawą. Chyba obdarzy mnie Pani zaufaniem?.

Wierszyki słabe, chociaż założenie ich jest dobre i głębokie. Może nadeśle mi Pani inne? Serdecznie pozdrawiam.

W „KRAINIE“ CORAZ TO WIĘCEJ RADOŚCI

„Pepi w mundurku.“ Zdaje mi się, że otrzyma Pan moc liścików, bo któż zdoła się oprzeć i kogo nie rozbroi taki apel, który niżej zamieszczam:

„Długo zastanawiałem się, czy zapisać się do takiego towarzystwa, gdzie nie płaci się składek, gdzie można być swobodnym i szczerym, gdzie naprawdę można zapomnieć o troskach i niepowodzeniach naszego życia. Towarzystwem tem — to „Kraina“. Dzisiaj wstępuję w szeregi jej sympatyków i przystępuję do „opisania“ swej własnej persony. Czasem poważny, jak Katon, ale częściej wesoły, jak rozbawiona dziecina, wysoki, szczupły, beztrosko uśmiechnięty — to ja — „Pepi w mundurku“, miłośnik fotografji, przyrody i wszystkiego dobrego, smacznego i słodkiego! A teraz, po przedstawieniu się, przystępuję „ad rem“ i zasyłam pozdrowienia dla „Eli“ — „Danki“ — „Lei“ — „Czerwonego Korala“ — „Szarej Dziewczynki“ a szczególnie „Dziewczęcia z Kujaw“. Czekam na listy.“

Z MIŁĄ CHĘCIĄ

„Łobuz z pod ciemnej gwiazdy“. Nie rozumiem Pani „tchórzostwa“. W „Krainie“ zapewniałam nieraz moich Sympatyków, że traktuję wszystkich jednakowo, więc powinna się Pani była już dawno wyzbyć wszelkich skrupułów i nawiązać z nami kontakt. Ale... lepiej później, niż wcale — mówi przysłowie, więc chociaż tak późno Pani napisała, przyjmuję jednak Panią z miłą chęcią do „Krainy“ i oddaję, według utartego zwyczaju, kilka słów Pani do druku:

„Jestem brunetką, szczupłą, 167 cm wysoką. Lubię wszelkie sporty i im to właśnie poświęcam moje wolne chwile. Brzydką nie jestem, ale nad wyraz wesołą. Przesyłam pozdrowienia „Żołnierzykowi z Grodu Lecha“ — „Marzycielowi z pod Gniezna“ i „Smutnemu Edkowi“ oraz zapytuję czy któryś z wymienionych Panów, nie zechciałby do mnie napisać?“

PROSZĘ O DALSZĄ PAMIĘĆ

„Czarnulka ze Świecia“. Sprawa prenumeraty, załatwiona — nie potrzebuje więc Pani nic dopłacać. Nie będę Pani dzisiaj przedstawiała, gdyż już raz to uczyniłam, pozdrawiam więc tylko Panią i proszę o dalszą pamięć.

WSPÓŁCZUCIE I UZNANIE

„Rudi“. Fotografja bardzo ładna. Będzie stanowiła dla mnie miłą pamiątkę.

Przesyłam Panu szczere współczucie z powodu pokrzyżowania Pańskich planów. Lubię, gdy ktoś dąży wytrwale do urzeczywistnienia swoich planów i zamiarów, ale więcej jeszcze mi się podoba rozsądna rezygnacja z czegoś nieosiągalnego i niemożliwego. Ciężka sytuacja materjalna i trudności w konsulacie przeszkodziły Panu w wyjeździe na studja zagranicę i w ten sposób przecięły Panu plany na przyszłość, jednakże nie załamał się Pan i dzielnie pogodził z smutną rzeczywistością. „I w ojczyźnie — pisze Pan — można być pożytecznym, więc zabrałem się ochoczo do pracy“. Naturalnie! i tutaj może Pan pogłębiać stale swoje zdolności i iść naprzód. Człowiek pracy, który konsekwentnie dąży do czegoś, wszędzie będzie potrafił być pożytecznym, a przedewszystkiem będzie zawsze stanowił wartościową jednostkę.

To wszystko, co mogę Panu odpowiedzieć na nadesłany list i wywody w nim zawarte. Spodziewam się już w niedługim czasie należytego odzewu i łączę wiele miłych pozdrowień.

KORESPONDENCJA

„Samotny Tulipan“ pragnie korespondować z Czytelniczkami „Moich Powieści“. W tym celu zwraca się do „Szarej Dziewczynki“ i „Bursztynowego Serduszka“ z prośbą, aby Panie te zechciały do niego napisać. Na listy, da natychmiastową odpowiedź. Najserdeczniejsze życzenia na przyszłość zasyła „Szarej Dziewczynce“ i „Bursztynowemu Serduszku“.

PODYSKUTUJMY...

„Chryzolit“. „Czyż można kochać kogoś, kto nam krzywdę wyrządził?“ — pyta Pani i zaraz sobie odpowiada: — „nie“! Odpowiedź Pani jest normalną, tak odpowiedziałby każdy przeciętny śmiertelnik. Podać nieprzyjacielowi rękę i przebaczyć mu krzywdy, byłoby odruchem prawdziwie bohaterskim i trzebaby posiadać do tego iście królewskie serce. Zwykły śmiertelnik nie daruje urazów, chowa je głęboko i patrzy potem na ludzi i na świat, jak na krzywdzicieli. „Jeden, drugi i trzeci człowiek mi zrobił krzywdę, a więc wszyscy są mi wrogami, brak na świecie dobrych ludzi. Nie warto nikomu się zwierzać, nie warto okazywać serca, ot, najlepiej to zamknąć się w sobie i odosobnić od ludzi, kiedy są źli“ — taką opinję wydaje zwykle człowiek, któremu się stała krzywda. Na królewski czyn nie stać go! Mój Boże! Podać rękę wrogowi i pójść dalej w życie z sercem przepełnionem miłością, byłoby nadludzkiem, byłoby heroizmem — tego nie sposób pojąć! A może... może wróg stałby się nam przyjacielem (podobno nic tak nie wzrusza jak dobroć i miłość!), może świat po takim czynie, po takiej ofierze całopalenia wypiękniałby dziwnie, a wszyscy ludzie mieliby życzliwe, dobre twarze?... Kto wie, czy królewski odruch serca nie opłaciłby się!...

Te oto refleksje nasunęły mi się po przeczytaniu Pani listu. Proszę, niech się Pani nad niemi zastanowi, a potem odpisze mi, co o nich sądzi. Podyskutujmy trochę.... Czekam z utęsknieniem na Pani odpowiedź!

„MOŻE KTÓRA Z CZYTELNICZEK NAPISZE DO MNIE?“

„Orlicz“. List Pana zamieszczam w całości. Mam wrażenie, że wystarczy on zupełnie za mój apel.

„Czytając już oddawna „Moje Powieści“, które prenumerujemy z siostrą, zainteresowałem się bardzo „Krainą szczerością“. Zapragnąłem pogawędzić trochę listownie i zapomnieć o szarych, codziennych troskach. Do „Krainy“ pisze tyle osób o różnych charakterach i zapatrywaniach, więc sądzę, że będzie można znaleźć bratnią duszę, z którą korespondncja stanie się miłą rozrywką.

Wypada mi się jednak przedstawić, więc przystępuję do tego:

„Jestem młodym chłopcem, o czarnych oczach i czarnych, bujnych włosach. Zwykle jestem usposobienia wesołego, lecz czasami przeobrażam się w zadumanego marzyciela. Uwielbiam sport we wszystkich jego kierunkach. Lubię także teatr, kino no i... płeć piękną. Możeby więc która z Czytelniczek napisała do mnie liścik, w celu nawiązania szczerej korespondencji? Wszystkim Czytelniczkom i Czytelnikom „Moich Powieści“ zasyłam serdeczne pozdrowienia“.

PROSZĘ ODEBRAĆ!

W. S. 202 ma list na poste-restante — Inowrocław.

POZDROWIENIA

„Chojniczanka“ zasyła moc pozdrowień „Pustelnikowi z zaklętego ogrodu.“

PROSZĘ O ADRES!

„Nimfę II. z Puszczykowa“ proszę o dokładny adres, gdyż list wysłany na poste-restante — wrócił.

LIST MNIE NASTROIŁ BARDZO MIŁO

„Sarenka Czarnooka“. Kilka słów Drogiej Pani rzuconych na arkusik, nastroiły mnie bardzo miło. Maluje w nich Pani wiosenny urok swojej wioski.

„Śliczny jest u nas teraz las i pola i łąki, woda i topole z bocianami... — pisze Pani i w tym jednem zdaniu zamyka jakoby mały obrazek wiejski.

Przesyłam Pani, jak i również p. „Lu“ wiele serdecznych uścisków.

JESZCZE ECHO „PRIMA APRILISU“

„Wulkan Wesołości“. Całusy i uśmiechy, — odebrałam. Wulkan radosnych słów bardzo miło mnie natchnął. Niespodzianka „prima aprilisowa“ pobudziła mnie do serdecznego śmiechu. Skąd się wziął u Pani ten oryginalny pomysł? — ciekawa jestem.

Krótka moja odpowiedź dzisiaj, może za krótka, jak na taki obszerny i radosny list, ale niech mi Pani wierzy, że żywię dużo dla Niej sympatji i gorąco pragnę Jej nowych, pogodnych słów.

ZAMIESZCZAM DZISIAJ

P. T. R. z O. Nowelkę zamieszczam dzisiaj. Cóż nowego słychać w naszych stronach? Oczekuję wiadomości i pozdrawiam! Czy otrzymał już Pan wielkanocny numer „Moich Powieści“?

Teczka Wujka Janusza

STYR

Z cyklu „Rzeki Wołynia“
J. M. Orlikowi — poświęcam.

Styr —
gwałtowny kochanek Prypeci —
w burzliwe uściski leci.
przez żyzne Wołynia łany,
Pod Oleskiem
w biegu dosyć wstrzemięźliwy,
na Polesiu już zuchwale
wstrząsa fal swych grzywy.
Dumny władca rzek Wołynia
w każdej porze roku
swoje wody zmienia.
Wiosną —
chwali się swoją potęgą, —
jak młode kozacze,
gdy słońcem wiosennem pijane
po stepie skacze.
Wiosną
chwali się swoją potęgą, —
ale za to w skwarny lipiec,
gdy słońce przypiecze,
spokojnie na swym grzbiecie
ciężkie barki wlecze.
W jesieni bywa z nim różnie:
czasem spokojny,
a czasem —
ogromem wód bluźnie.
Zima —
to tragedja
dla dumnego króla, —
gdy mróz ściśnie nurty w lody
i łyżwiarz po nich
bezkarnie hula.

Józef Bojar.

CZEKAM...

„M. — Rysia“. List oraz dwa wierszyki Pani odebrałem. Kiedyś już czytałem podobne myśli, więc nasunęły mi się różne przypuszczenia. Narazie wstrzymuję się od wydania jakiejkolwiek opinji o nich, dopóki mnie Pani nie zapewni, że wiersze są samodzielne i nie wzorowane na utworach innych autorów. Czekam zatem i łączę miłe pozdrowienia.

PORÓWNANIA MUSZĄ BYĆ ŚCISŁE I TRAFNE

„Stella Maris“. Święta Wielkanocne to już sprawa nieaktualna i przebrzmiała, jednakże pod wpływem Pani liściku wracam do nich znowu. Jak je spędziłam? Bardzo pogodnie i „słonecznie“, pomimo niepogody i deszczowych chmur. Spędziłem je zdala od Żnina, w towarzystwie najmilszych i najdroższych mi osób, bo rodziny. Tyle o świętach i o sobie i już przechodzę do sprawy następnej — nadesłanego wierszyka.

„Wiosenny ranek promieniem słonecznym,
Wskrzesił w mem sercu pragnienia gorące,
Skusił do życia, które chce być wiecznem,
Jak zorze złote na niebie płonące.

Całość wierszyka byłaby bardzo miła, gdyby nie porównanie w wyżej przytoczonej zwrotce. Porównania muszą być zawsze ścisłe i trafne, o tem niech stale Pani pamięta. Wieczność do płonących zórz nie można porównywać, gdyż są one tylko chwilką — błysną i już gasną. Ucieszę się, gdy Pani odpowiednio zmieni nieudałą zwrotkę, gdyż wówczas już zupełnie spokojnie będę mógł oddać utworek Pani do druku. Łączę dużo serdeczności i ściskam Pani rączki.

TAJEMNICZOŚĆ

„Blanka“. Droga p. „Blanko“! Tajemniczość Pani jest niepokojąca! Czy długo będę musiał czekać na wyjawienie sekretu i w dodatku powierzenie mi go na ucho? Może sprawę, drogą kompromisu, załatwimy w ten sposób, że tajemnicę powierzy mi Pani już w następnym liście, a ja postaram się być zkolei również tajemniczy. Jak p. „Blanka“ zapatruje się na to?

Wiersze: „Piosenki echo!“ — „Wróć do mnie znów...“ i „Dlaczego...“ zostaną zamieszczone. Jak najserdeczniej pozdrawiam!

Raj kobiet

Na wiosenne spacery





77 853. Sukienka z brązowej wełny na którą nakładamy jumper w beżowo-brązowe pasy. Pasek z brązowego zamszu.

77 854. Płaszczyk z szarej, lekkiej wełny, przybrany czarnym futerkiem. Pasek i guziki — czarne.

77 855. Bardzo skromna, ciemna sukienka w jasną kratę, odpowiednia do pracy w biurze. Można zakładać do niej biały kołnierzyk.

77 859. Miła sukienka z białej wełny. Jedyną jej ozdobą to czerwone guziki, tegoż koloru pasek i oryginalnie wszyte fałdy.

77 861. Sukienka z wełnianej krepy w kolorze lawendy. Kołnierz i mankieciki z ciemnolila jedwabiu.

Kroje powyższe (Vobacha) nabyć można w naszej administracji za poprzedniem nadesłaniem 1,90 zł przez P. K. O. 207 393.

Samodzielność kobiet abisyńskich

W związku z zajęciem Abisynji przez Włochów, jak i olbrzymiem zainteresowaniem się całego świata państwem Negusa, podajemy dzisiaj ciekawy reportaż z życia wolnej ongiś kobiety abisyńskiej:

Samodzielne stanowisko kobiety było silnie ugruntowane już w dawnem królestwie Etjopji i większość książek i artykułów o Abisynji zaczyna się od historji królowej Saby, owej samoistnej władczyni, twórczyni dynastji abisyńskiej i jednej z najwybitniejszych kobiet w starożytności.

Aż do czasu koronacji bratanka wielkiego cesarza abisyńskiego Menelika II, cesarzową była jego córka Zauditu. Na dworze panowała etykieta, podkreślona jeszcze bogatemi strojami o wzorach bizantyńskich i osobliwemi przepisami uprzejmości. Kobieta abisyńska, równouprawniona z mężczyzną, nosi wielką ilość szerokich artystycznie wykonanych sukien i kaftanów, a jako strój charakterystyczny kolorową „szammę", zasłonę bogato tkaną złotem. Kolor czerwony nosi tylko królowa. Inne kobiety z wyższych sfer noszą kolor zielony.

Są „szammy" na codzień, szammy na święta kawaleryjskie, szammy na wielkie uroczystości, zabawy dworskie itd. Wszystkie panie abisyńskie każą sobie tkać szammy własnoręcznie. Sposób tkania jest prosty. Bierze się w tym celu szyszki roślin bawełnianych, rosnących na polach, wyłuskuje się bawełnę, usuwa się z nich ziarna, potem czesze się ją, ubija kamieniem i rozpłaszcza włókna. Potem nawleka się włókna przy pomocy wałka i tka się z nich materję na ręcznym warsztacie tkackim. Przez ciąg wielu generacyj kobiety abisyńskie tkały same swoje „szammy", nie dając się skusić europejskim wyrobom. Europejskich tkanin używają jedynie do bielizny. Kobiety wyplatają również wspaniałe, oryginalne kosze, kolorowane bardzo pomysłowo.

W gościnnym domu utytułowanej amhary, (noszącej tytuł „woezero") podawane jest jako chłodnik w sterylizowanych nad ogniem szklankach „talla", abisyńskie piwo, krowie mleko i palone ziarnka zboża. Goście bardziej wyróżniani, zapraszani są na pieczone jagnię. Codzienne życie spędzają kobiety w „tukulu", w prymitywnie, ale starannie plecionej chacie, w której jest niewiele sprzętów do siadania. Tylko cesarski dwór w Addis Abebie, gdzie znajdują się nowoczesne domy Europejczyków, posiada przestronny pałac, t. zw. Gibbi.

Gdy kobieta abisyńska opuszcza dom, odbywa się to wśród wielkich ceremonij. Najpierw goniec donosi o jej odwiedzinach. Potem pani wyjeżdża w orszaku sług na białym mule, którego uprzęż i siodło są bogato ozdobione wzorami. Muł ma często przy uździe srebrne dźwięczące dzwonki. Zsiadanie z siodła nie jest proste, gdyż służące rozpościerają szeroką szammę przed swoją panią, ażeby zasłonić ją przed oczyma ciekawych, dopóki nie stanie na ziemi.

Każdą potrawę kosztują służące, zanim spożyje ją Amhara. Zwyczaj ten pozostał z dawnych czasów, gdy obawiano się trucicielstwa. W czasie przyjęcia wymienia się bogate podarunki i każdy Europejczyk, który chce poślubić Abisynkę, musi poznać dokładnie wszystkie zwyczaje i obyczaje abisyńskie, na które zwraca się w Abisynji wielką uwagę. Ale po zatem, zwłaszcza w stolicy, przyjmują się powoli zwyczaje europejskie. Cesarz Haile Selassie kazał wychowywać swoją córkę w francuskiej Szwajcarji, a niejedna Amhara podróżuje dzisiaj sama dla studjów po krajach europejskich. W Europie nosi strój europejski, z wyjątkiem szammy. Ale po powrocie do Abisynji wkłada z powrotem strój abisyński. Kobiety abisyńskie gospodarują same na plantacjach, odziedziczonych po swoich mężach cieszą się wielkim szacunkiem u służby. Rozwody są w Abisynji bardzo częste, ponieważ przepisy koptyjskiego kościoła opierają się na Starym Testamencie. Ale rozwódka zachowuje nienaruszone swoje stanowisko i może wyjść powtórnie zamąż.

Małżeństwo

w świetle opinji artystów francuskich

Pewien poczytny francuski tygodnik rozesłał ankietę do najpopularniejszych mężczyzn i kobiet francuskich z zapytaniem: „Jakich środków należy użyć zdaniem Pana (Pani), aby zaradzić obecnemu kryzysowi małżeńskiemu? Czy mężczyźni mają się żenić, czy raczej żyć w samotności? Czy sądzi Pan (Pani), iż byłoby możliwem poprawić istniejący stan rzeczy za pomocą jakiejś gospodarczej lub społecznej reformy, aby dwa miljony Francuzek, które są zmuszone rezygnować z ogniska domowego wskutek niechęci mężczyzn do małżeństwa odzyskało prawo do osobistego szczęścia?"



Dziewczęta abisyńskie przy robieniu bandaży dla braci walczących na froncie

Odpowiedzi na powyższe pytania dały przeważnie kobiety, i tak: sławna paryska aktorka Cecylja Sorel, która jest równocześnie żoną jednego z arystokratów francuskich odpowiedziała, że uprzedzenie do małżeństwa jest, jej zdaniem, absolutnie nieuzasadnione. Małżeństwo daje bowiem kobiecie i mężczyźnie miłość, przyjaźń i rodzinę. Najbardziej oporni w stosunku do małżeństwa artyści i pisarze powinni żenić się w najmłodszych latach, gdyż współżycie z kobietą i ognisko rodzinne staje się często źródłem artystycznych inspiracyj.

Z innego założenia wychodzi niemniej popularna artystka, ulubienica Paryża, Mistinguette. „Małżeństwo — oświadcza sławna „diva" — jest nieudałą farsą, bez dowcipu, humoru, a co gorsza, bez pointy. Wprawdzie nie jestem miarodajną w kwestji małżeństwa, gdyż dzięki Wszechmogącemu nigdy jeszcze nie byłam mężatką, lecz czuję się tak doskonale, że z najlepszą wiarą mogę postawić siebie za przykład zadowolenia w wolnym stanie".

Bardzo dowcipnie odpowiedział na zawarte w ankiecie pytania jeden z komików paryskich: „Byłem zaledwie trzy razy żonaty. To stanowczo za nikłe pole studjów, aby umożliwiało stawianie wniosków na temat małżeństwa. Proszę Szanownej Redakcji poczekać na moją odpowiedź jeszcze parę lat. Do tego czasu ożenię się jeszcze parę razy, będę zatem miał więcej doświadczenia na tem polu".

Ze świata

Najmłodsza babka w Ameryce

Najmłodszą babką w Ameryce jest 28-letnia pani Cecil Henderson z Columbus, Ohio. Jej 14-letnia córka, pani Roland Reed powiła w tych dniach córeczkę.

300 tysięcy słoni ofiarą... bilardu

Podobno rasa słoni jest zagrożona i za kilkadziesiąt lat będą taką samą rzadkością, jak żubry. Do tego smutnego faktu przyczynia się spewnością niemało fakt rozpowszechnienia na świecie gry w bilard, do której używa się, jak wiadomo, kul wyłącznie z kości słoniowej.

Obliczono, że w ciągu ostatnich stu lat wyfabrykowano na świecie 2 miljony kul bilardowych. Ponieważ zaś z dwu kłów słonia da się zrobić najwyżej 7 kul, więc jasne, że użyto do tego celu aż 300 tysięcy nieszczęśliwych słoni.

Niezwykły zakład

Niecodzienną sprawą zajmował się w tych dniach sąd grodzki w Siemiatyczach. U szewca Nikifora Gryczuka w Drohiczynie stanął zakład pomiędzy handlarzem Grudą, a uczniem gimnazjalnym Andrzejem Szatkowskim o zjedzenie 15 deka skóry na podeszwy. Druga strona ryzykowała 100 zł. Jeden młody 7 klasista pokrajawszy skórę na kawałki wraz z funtem chleba i litrem kawy dokonał tego dzieła — ale wtenczas jego partner nie chciał płacić 100 złotych, mówiąc, że to był tylko żart. Wynikła z tego awantura, której kres położyła policja, spisując protokół.. Sąd obecnie rozstrzygnął na korzyść ucznia, każąc handlarzowi płacić za swój żart niewczesny.

Napoleon swatem

Jedną z pasyj Napoleona było swatanie i kłecenie małżeństw. Pasja ta trwała do końca życia. Nawet w testamencie, pisanym na niewiele dni przed zgonem, znalazł się m. in. legat w kwocie w kwocie 300 tys. fr. na rzecz księcia Istrji ale z warunkiem, by książę, — o ile jeszcze nie żonaty — pojął za żonę córkę gen. Durroc'a.

Pozatem, w testamencie swym wyraził Napoleon życzenie, aby jedną z jego kuzynek korsykańskich, pannę Pallavicini, matka wydała zamąż za gen. Drout'a,, jeśli tylko przypadnie ona do gustu generalowi. Pod adresem całej swej rodziny wypowiedział Napoleon takie życzenie: „Życzę sobie, ażeby wszyscy moi siostrzeńcy i siostrzenice, kuzyni i kuzynki zawierali małżeństwa pomiędzy sobą, uwzględniając krewniaków, pochodzących z krajów romańskich, ze Szwajcarji lub Stanów Zjednoczonych. Potępiam jedynie małżeństwa ze Szwedami..."

To potępienie wywołane zostało postępowaniem marszałka Bernadotte'a, późniejszego króla Szwecji, który zdradził był sprawę Napoleona Zdrady tej Napoleno nigdy przebaczyć, ani zapomnieć nie mógł.

—o—

Tadeusz Rawicki.

Wańcza

(Nowela)

Zagłębiłem się w najdzikszy zakątek parku i usiadłem na ławeczce zrobionej pomysłowo z białych konarów brzozy. Rozejrzałem się uważnie dokoła lecz ku memu zadowoleniu nie dostrzegłem nikogo. Byłem nareszcie sam jeden w malowniczem ustroniu, zdala od gwaru miasta.

Chciałem wypocząć tu po dziennej pracy, zaczerpnąć w zbolałe płuca czystego powietrza i co najważniejsze chciałem wśród ciszy i spokoju rozmawiać z.. samym sobą.

A cisza usłała się zupełna. Pod wpływem żaru wiosennego słońca wszystko stanęło w dziwnej niemocy usnęło. Nawet ptaki ucichły, szukając chłodu w gąszczach krzewów. Tylko ciemno-zielone świerki szumiały wokoło smętnie i tajemniczo. Pozatem czułem wyraźnie balsamiczny zapach żywicy.

Ukołysany jakby do snu, puściłem wodze myślom.

— Niestety, zbyt krótko cieszyłem się samotnością, bo oto spostrzegłem przed sobą wysoką i cienką figurę Wańczy. Szedł sztywno, stawiając przydługie kroki i zniżając ustawicznie głowę, chroniąc ją w ten sposób od uderzeń zwisających gałęzi.

Wańcza zmierzał najwyraźniej do mnie i zrozumiałem, że spotkanie z nim będzie nieuniknione. Ucieszyłem się poniekąd z tego powodu, gdyż on zawsze przyniósł ze sobą dobrą wiadomość. Może i teraz...

Uczułem mocny uścisk jego kościstej dłoni i usłyszałem basowe: jak się masz?!

— Zdrowo i dobrze! — odrzekłem.

Wańcza machnął niedbale ręką i usiadł na brzozowej ławeczce tuż obok mnie, wysuwając daleko przed siebie swe bociane nogi. Odsapnął kilka razy, otarł rosę z kwadratowego czoła i, akcentując każdy wyraz, powiedział:

Przynoszę ci pozdrowienie od tej brunetki, którą potajemnie kochasz!

Momentalnie powstałem z ławki, wpatrując się zdziwiony w postać siedzącego olbrzyma.

A on oparł się wygodnie plecami o poręcz. chytrze uśmiechnięty, jak człowiek, który posiadł tajemnicę.

Uczułem się niby złodziej schwytany na gorącym uczynku i mimowoli twarz mi sposowiała. Opanowałem się jednak szybko, pytając poważnie: skąd wiesz o tem, że ja ją kocham?

Wańcza zahuczał śmiechem.

Czy zamierzasz temu zaprzeczyć? Myślisz może, iż jestem krótkowidzem? Co? co odrzekł z odrobiną ironji w głosie.

Byłem pokonany na całej linji i nie próbowałem więcej się bronić ani oponować. Bo naczóż? Będę sam siebie okłamywał? Wszak to, co przed chwilą wyłuszczył Wańcza było najszczerszą pod słońcem prawdą.

Kochałem się w owej brunetce, Olenie, której osobiście dotąd nie znałem. Widywałem ją często w parku lub na ulicy i to zwykle w towarzystwie starszego pana, zapewnie jej ojca. Spodobała mi się bardzo. Zwykle kończyło się na tem, że przechodząc, zatapiałem na moment swoje źrenice w jej czarnych oczach. Ona rumieniła się momentalnie na twarzy, spuszczając równocześnie obramowanie ciemnych rzęs.

Dziwne zachowanie się Oleny dawało mi dużo do myślenia. Wnioskowałem, że nie jestem jej obojętny.

Cierpiałem skrycie, czekając na bieg wypadków.

I oto nagle Bóg zesłał mi pośrednika w osobie Wańczy. Byłem teraz na dobrej drodze dojścia do upragnionego celu.

Z zadumy obudziło mnie czyjeś chrapnięcie. Spojrzałem w bok. To Wańcza spał, wdychając z świstem powietrze. Widocznie nie chciał mącić mego zamyślenia i zmógł go sen.

— Niech sobie śpi, pomyślałem, kierując wzrok przed siebie.

Nagle gdzieś daleko w cienistej alei ukazała się postać kobieca. Szła zgrabnie, ubrana w jasną suknię. Śledziłem każdy krok i ruch idącej. Wreszcie poznałem ją.

Aleją szła Olena, ta, którą uwielbiałem skrycie.

Patrząc teraz na nią z daleka zdawało mi się, że ona idzie wprost do mnie, nie obca już lecz bliska.

W rzeczywistości ogarnął mnie dziwny niepokój i uczułem się nieswojo. Z jednej strony dlatego, że nie byłem wogóle przygotowany na to niespodziewane spotkanie, z drugiej intuicyjnie rozumiałem, że teraz musi się coś stać. Teraz albo nigdy!

— Dobrze, że choć Wańcza śpi — pomyślałem — nie wiedząc sam dlaczego żądam w tej chwili snu dla przyjaciela.

Wreszcie powstałem na powitanie nadchodzącej.

Uśmiechnęła się kącikiem ust i skinieniem głowy odpowiedziała na mój ukłon.

Szybko wymieniłem swoje nazwisko i uścisnąłem jej delikatną rączkę, mówiąc:

Dziękuję pani za pozdrowienie!

Uśmiechnęła się mile i usiadła na brzozowej ławeczce obok śpiącego Wańczy. Zająłem miejsce z drugiej strony. Byliśmy zatem przedzieleni ciałem olbrzyma.

Zerknąłem w stronę Oleny. Na jej twarzyczce trwał jeszcze uśmiech i oczy rzucały słoneczny blask. Widocznie była zadowolona z obrotu sprawy.

— Czy on — wskazała Wańczę — powiedział panu coś więcej o mnie prócz pozdrowienia?

— Nic! Możliwem, że chciał powiedzieć, ale zapewnie zwalczył go sen i usnął biedak — odpowiedziałem wesoło.

Olena zaśmiała się...

— A może nawet lepiej, że Wańcza śpi — zauważyłem.

— Słusznie. Niech sobie śpi. Nie będzie nam przynajmniej przeszkadzał w rozmowie, której, sądzę, oboje jesteśmy spragnieni.

Cicho było w parku i dobrze. Słowa nasze były również ciche i dobre. Nasz stary przyjaciel nawet nie przypuszczał, że dzieło jego zostało wypełnione. Pomiędzy Oleną a mną nastąpiło pełne harmonji porozumienie. Kochaliśmy się i to było ważne...

Gdy się Wańcza przebudził na twarzach naszych malowało się jasne szczęście. Mrugnął zdziwiony i popatrzał na nas w osłupieniu.

— Przed chwilą, Wańczo, nastąpiło pojednanie dwóch dusz — rzekłem wzniośle.

Stary przyjaciel uścisnął nam w milczeniu ręce. Potem przygasł w sobie i począł mówić. Pierwszy raz widziałem go tak rozgadanego — ogólnie miał wyrobioną opinję mruka.

— Nie dziwcie się, że wam tak chętnie pomogłem. Szczęście można czasem ominąć, więc kiedy stoje w drodze, trzeba mu wyjść naprzeciw. Wańcza nie potrafił podejść do szczęścia, ominął je i poszedł w życie sam... Wańcza był głupi...

Słuchaliśmy uważnie, co mówił poczciwiec. Ostatnie jego słowa poruszyły nas.

— Niech pan dokończy, niech Pan nam wszystko powie... — szepnęła Olena, kładąc rękę na ramieniu Wańczy i pochylając się nad nim.

— Ot, nie długa historja! — zaczął po chwili milczenia. — Kochałem się kiedyś także i byłem kochany. Narzeczona moja miała jasne oczy i była bardzo dobrą. Kiedyś zrobiłem jej przykrość, zraniłem jej delikatne uczucia... Wyjechała bez pożegnania, rozgniewana na mnie i obrażona. Nie starałem się jej przeprosić. Ambicja wzięła górę i tak pozbyłem się mojego szczęścia. Dopiero dzisiaj zdaję sobie sprawę ile straciłem. Żal niewczesny, niestety i strata nie do powetowania! Jestem sam, podczas, gdy ona czuje się szczęśliwą. Spotkałem ją kiedyś w towarzystwie małego chłopczyka. Miał duże, błękitne oczy, jasną czuprynę i srebrny głosik. To był jej syn... jej nowe szczęście. Zrozumiałem wtedy, że jestem więcej samotnym i dalekim od szczęścia, niż przypuszczałem...

Wańcza skończył, podniósł się ciężko i powlókł w aleję. Spojrzeliśmy sobie z Oleną wzruszeni w oczy...

Szczęście to ptak wędrowny. Gości jednak chętnie tam, gdzie budują mu zaciszne, spokojne gniazdko — zrozumieliśmy to bardzo dobrze.

— — — — — — —

W dzień ten długo spacerowaliśmy w dwójkę po parku uszczęśliwieni i upojeni czarem wiosennego dnia, a przed nami wydłużał się od czasu do czasu pochylony i niezgrabny cień starego Wańczy.

Wśród warjatów

czyli

Upiór zamku Sokolskich

(Romans) 88)

Niklas Dombey był wielkim przyjacielem ptaków; w wolnych godzinach chwytał ptaki i zamykał je do klatek.

Lola widziała przeróżne papugi, kosy, sroki, szczygły i t. d. Zdawało się, jakby całe leśne ptactwo naznaczyło sobie w tej izbie wspólne spotkanie.

Niklas Dombey zwierzył się Loli, że niechętnie przyjął kobietę do swojego domu.

Wogóle nie cenił bardzo kobiet. Wkrótce przekonał się jednak, że tą razą spotkał się z wyjątkiem.

Nie mógł sobie życzyć lepszego pomocnika. Lola przewyższała go nawet pilnością.

Najcichszy szmer, dolatujący z toru kolei, budził ją ze snu. Spała w pokoju, gdzie był aparat telegraficzny. Za najlżejszem uderzeniem zrywała się na równe nogi i odbierała nadchodzące telegramy, które zawierały rozkazy zarządu dla Niklasa Dombey.

Wśród wichrów i ulewy patrolowała nasyp, przywiązywała latarkę, brała rewolwer do ręki, nasuwała czapkę na czoło i szła pięć mil angielskich celem przekonania się, czy jaka zbrodnicza ręka nie uszkodziła toru kolei żelaznej.

Najważniejsze techniczne pojęcia przywłaszczyła sobie po trzech dniach. Była obznajmiona ze służbą, jakby odbywała ją przynajmniej kilka lat, słowem: Niklas Dombey mógł jej oddać ze spokojnem sercem całą czynność, do czego zresztą był zmuszony, ponieważ jego choroba postępowała z każdym dniem naprzód.

Jednego dnia powiedział Loli, że odjedzie do Santa-Fee wieczornym pociągiem, który zatrzymuje się na jego stacji o godzinie siódmej.

„Zabawię dwa dni,“ rzekł, „mam bowiem ważną sprawę w Santa-Fee.“

„Ah, rozumiem,“ odparła Lola, „chce pan zasięgnąć porady lekarza?“

„Nie, mój przyjacielu,“ — Dombey używał w rozmowie ze swoim asystentem wyrazów, które właściwie były stosowne dla mężczyzny, — doktor mi nic nie pomoże! Jadę do stolarza i wyszukam sobie trumnę, którą wyślę najbliższym pociągiem.

„Kochany kolega raczy schować trumnę, dopóki nie powrócę. Będę w niej spał, chcę się bowiem przyzwyczaić do wiecznego snu.

„Każdy rozsądny człowiek przygotowuje się na śmierć i obmyśla zawczasu swoje przyszłe mieszkanie w grobie.“

„Mister Dombey,“ wtrąciła Lola, przecież pan tak źle nie wygląda. Daleko panu do śmierci.“

„Mnie?“ odparł Dombey; smutny uśmiech wykrzywił jego żółtą, chorowitą twarz. „Tylko dwadzieścia pięć dni będę bawił między żyjącymi.“

„Dlaczego dwadzieścia pięć dni?“

„Tak sobie wyrachowałem; moja choroba jest tego rodzaju, że jej postępy można dokładnie kontrolować.“

„Ależ, panie Dombey, jeżeli pan Dombey tak dobrze wyrachował, to mojem zdaniem byłoby lepiej zostać w Santa-Fee! Idź pan do szpitala.“

„W takim razie żyłbym tylko pięć dni. Lekarze musieliby mnie operować, a to jest nad moje siły.“

„Dlaczego mam stracić te dwadzieścia dni? Zresztą wolę zamknąć oczy w mojej stacji, w której przeżyłem tyle lat!

„Tak, drogi kolego, — bądźcie tak dobry i wykopcie mi grób pod tą sosną. Nie będziesz miał przynajmniej ze mną kłopotu. Czuję mój koniec, dlatego położę się do trumny, którą umieszczę poprzednio na miejscu spoczynku.

„Mój grób sam sobie przygotuję; pani spuści tylko trumnę na dół i zasypie ziemią. Tyle żądam od pani i proszę w tej godzinie, kiedy zostanę pogrzebany, wypuścić wszystkie moje ptaszki na wolność.

„Niech pani nie zapomni o biednych zwierzętach.“

„Nigdy w świecie mister Dombey, spełnię wszystkie życzenia, sądzę jednak, że się pan myli i że nawet po dwudziestu pięciu miesiącach będziemy tak samo obok siebie siedzieć, jak dzisiaj.“

„Niech mi pani tego nie życzy,“ odwarł Dombey, „dosyć się nażyłem, a te dziesięć lat, które spędziłem w tem pustkowiu, stanowią poniekąd przejście do grobu. Przyzwyczaiłem się do spokoju i samotności.

„Jeżeli pani sobie życzy pozostać na tej stacji i objąć moje miejsce, to zarząd kolei zapewne przyjmie z chęcią usługi pani. Poleciłem panią na miarodajne miejsce z całego serca.“

„Dziękuję, mister Dombey, rzeczywiście pragnę pozostać tutaj.“

„Ale drogi kolego, nie będzie tutaj trochę za samotno? Przyszedłszy na to miejsce, zamknąłem już moje życie; pani jednak jesteś młodą i piękną, co zapewne potwierdzą i inni mężczyźni. Nie mogę osądzić, nie wiem bowiem, z jakiego punktu trzeba się zapatrywać w tym względzie.

„Lecz w każdym razie, — proszę darować, że mówię to co myślę, — dlaczego pani nie wychodzi za mąż?“

„Mister Dombey, — to moja tajemnica,“ odparła Lola, „proszę, nie poruszajmy tego tematu.“

„Dobrze, drogi kolego,“ odparł Dombey i odszedł na bok.

O siódmej godzinie zatrzymał się na stacji pociąg towarowy idący aż do Santa-Fee. Dombey umieścił się na lokomotywie obok maszynisty, upominając jeszcze raz Lolę by miała baczne oko na wszystko i uważała na każdym kroku.

„Niech drogi kolega nie zapomni,“ rzekł do Loli, „że to pustynia, w której często wałęsają się podejrzani ludzie, przed którymi trzeba się mieć na baczności.

„Proszę nie brać do domu żadnego obcego człowieka, nawet gdyby wyglądał jak najbiedniejszy nędzarz. Włóczęgi liczą zwykle na litość; w ten sposób wkradają się do domu z myślą o rabunku. Niech pani zamyka drzwi, bo inaczej nie ręczę za nic!“

„Moja w tem głowa, — będę je zawsze zamykać, mister Dombey.“

„Dobrze, good bye!“

„Good bye, mister Dombey, szczęśliwej drogi, do zobaczenia!“

„Jeszcze słówko,“ zawołał Dombey, gdy pociąg ruszył. „Niech pani uważa na trumnę, którą dzisiaj wyślę. Proszę ją zostawić w biurze i nie dotykać.“

To były ostatnie słowa, które się obiły o uszy Loli. Obróciła się i jakby nic nie zaszło, skierowała swoje kroki ku stacji. Po raz pierwszy była sama w pustyni, sama w skalistej Sierra Newada, sama w leśnej puszczy zachodniej Ameryki.

CXXXV.

Uparty kandydat śmierci

W gospodzie pod „poszukiwaczem złota,“ w jednej z osławionych knajp Santa-Fee, siedziało w rogu dwóch mężczyzn, których długi Tom, właściciel zajazdu zupełnie nieznał. Zwykle chwalił się, że zna każdą bladą, czerwoną, albo czarną twarz która się pokazuje w okolicy Santa-Fee.

Długi Tom nazwał obcych mężczyzn wiejskimi kogutami; chciał przez to powiedzieć, że przyszli ze wsi do miasta.

Rzeczywiście obaj nosili strój kolonistów, a długi Tom myślał sobie, że to zapewne ojciec i syn.

Ten, którego uważał za ojca, był wysokim, chudym mężczyzną, nosił krótko strzyżoną, siwą brodę, drugi miał czerwone włosy i wygoloną twarz. Nasi czytelnicy domyślają się zapewne, że widzimy znowu doktora Morizano i Alfreda Robbera, i rzeczywiście obydwaj łotrzy siedzieli razem w Santa-Fee pod „poszukiwaczem złota“ i snuli dalej plany, które rozpoczęli w Nowym Jorku, to znaczy, uzupełniali tylko zamiary, które powzięli w gospodzie przy Bowry.

Morizano i Alfred Robber uważali za konieczne zmienić nieco swój zewnętrzny wygląd. Wdziali ubranie kolonistów, Morizano ostrzygł swoją brodę i odłożył złote okulary, które byłyby zanadto wpadające w oko w zachodniej Ameryce. Wprawdzie nie widział zbyt dobrze, miał jednak przy sobie Alfreda Robbera, który posiadał sokole oczy.

„Jedno wiemy więc całkiem pewnie,“ szepnął Morizano do swojego towarzysza, napoczynając flaszkę wina, którą właśnie postawił długi Tom na stole, „nasi ludzie są już w drodze do Santa-Fee i jadą koleją Pacific i prawdopodobnie zatrzymają się w Saint Louis, by nie robić na raz tak długiej podróży.“

„My jednak pojechaliśmy dalej,“ zaśmiał się Alfred Robber, „przyjacielu Morizano, to była dobra myśl, tutaj możemy przynajmniej wykonać spokojnie nasze plany.“

„Tak łatwem to znowu nie jest, jak sobie może przedstawiasz, Alfredzie Roberze,“ odparł Morizano, „gdyż na wykolejenie pociągu trzeba dużo sprytu.“

„Cicho,“ odezwał się Robber, „zdaje mi się, że nas gospodarz obserwuje.“

„Głupstwo,“ rzekł doktor Morizano, „umyślnie wybrałem tę karczmę, wiem bowiem, że nam nikt nie będzie przeszkadzał; długi Tom obok gospody trudni się także stolarką. Tam przez otwarte drzwi widzicie jego pracownię, wióry, trociny, deski i wszystko, co należy do stolarza.“

„Wykształcony człowiek,“ zaśmiał się Robber nalewając sobie wina do szklanki. „Tak, jesteśmy przecież w Ameryce; tutejsi ludzie mają czasem sześć różnych zajęć. Tutaj można być nawet doktorem i grabarzem!“

„Niema nic w tem nadzwyczajnego,“ odparł Robber, „godne naśladowania, — lekarz i grabarz, należą zawsze do siebie.“

Długi Tom rzeczywiście opuścił izbę i skierował swoje kroki ku pracowni, a po chwili było słychać, jak zaczął pracować.

„Doktorze Morizano, więc zamiar pański jest niezmienny?“ zapytał Robber, posiliwszy się winem.

„W jakim względzie?“

„Małą lady, na którą polujemy, poślemy krewnym jako trupa?“

„Do djabła, nie mogę inaczej postąpić,“ odparł Morizano, a jego siwe brwi ściągnęły się groźnie, „pojechałem za tą dziewczyną do Ameryki, ścigam ją od Nowego Jorku do Saint Louis, i nie mogę jej dostać w moje ręce. Nie mam więc innego wyjścia: żywa albo umarła, to mi wszystko jedno, bylem tylko ją już raz złapał.“

„Sądzicie więc, że w tym celu będzie najlepiej wysadzić w powietrze pociąg kolei Pacific, którym nadjedzie?“

„Uważam to za jedyny środek,“ odparł Morizano, „a ponieważ możemy dokładnie obrachować, że jutro wieczór przybędą do Santa-Fee, wobec tego wiemy, który pociąg trzeba wysadzić w powietrze. — Czy dynamit jest nienaruszony?“

„Wszystko w porządku,“ odparł Robber, „noszę go w mojej kieszeni w blaszanej puszce. Doktorze, daliście mi cudowne zadanie, chodzę ciągle, jak po wulkanie.“

„Ach, trzeba być tylko ostrożnym, nie taki straszny djabeł, jak go malują. Uważajcie tylko, by wam nie spadło coś cięższego na kieszeń.“

Inaczej nie pozostałby ze mnie ani jeden atom,“ uzupełnił Robber, „wiem o tem, będę go jednak dalej nosił, chcę się bowiem odpłacić hrabiemu Kazimierzowi Zamskiemu. — Do djabła, siedziałem tak wygodnie w Paryżu, gdy nagle wyszpiegował mnie, że przesiaduję w hotelu z żoną, — od tego czasu nie mam szczęścia, ciągle mnie ścigają, nigdzie nie mogę postawić śmiało mojej nogi.“

„Obecnie rozchodzi się tylko o to,“ rzekł Morizano, „byśmy położyli dynamit na szynach. Mojem zdaniem będzie lepiej, gdy się pociąg wykolei w pustyni, aniżeli w bliskości stacji. W puszczy niema dużo urzędników.“

„Ja także tak sądzę,“ odparł Alfred Robber, „a w tym celu nie pozostaje nam nic innego, jak jutro rano opuścić Santa-Fee i na wynajętych koniach



W Hamburgu oddano wielkie jezioro do dyspozycji żaglówek-modeli. Na ilustracji widzimy pierwsze regaty żaglówek, które urządzili konstruktorzy modeli.

pojechać do pustyni. Następnie na wygodnem miejscu zawalimy szyny kłodami i podłożymy dynamit. Pociąg wjedzie na przeszkodę, wykolei się, dotknie kołami dynamitu i wyleci w powietrze.“

„Ten plan nie bardzo mi się podoba,“ przemówił Morizano i wypił duszkiem szklankę wina. „Widocznie myślicie, że na kolei Pacific niema żadnego nadzoru. Mylicie się grubo; w czasie podróży widzieliście przecież drewniane domki, które pobudowano tu i ówdzie. Owe stacje kontrolują nasyp, skutkiem czego znalezionoby na szynach dynamit i kłody, a nasz plan wziąłby djabli.“

„Doktorze, macie słuszność. W jaki sposób usuniemy tę przeszkodę? Trudno będzie uniknąć kontroli urzędnika!“

„Pozostaje tylko jedno wyjście,“ odparł Morizano, „musimy przedtem usunąć urzędnika, który spełnia nadzór nad tym torem, gdzie chcemy wysadzić pociąg w powietrze; musimy mu więc uniemożliwić wieczorną kontrolę.“

„Nie będzie to tak łatwo; ci urzędnicy są zwykle energicznymi panami, noszą przy sobie broń, wobec czego sam nie wiem, czy w danym wypadku mam spowodować walkę.“

W tej samej chwili otwarły się drzwi i do izby weszła wysoka, chuda postać. Nieznajomy miał żółtą, schorowaną twarz, otoczoną długą, siwą brodą.

„Proszę mi przebaczyć, panowie,“ rzekł mężczyzna do pijących w progu pokoju, „czy długi Tom jest w domu?“

Pytacie o gospodarza? Jest w pracowni,“ odparł doktor Morizano.

„Dziękuję, — zresztą sam nadchodzi. Tomie, długośmy się nie widzieli!“

„Ach, mister Niklas Dombey, przyjechaliście do Santa-Fee? Patrz, jak to czas leci, dwa lata temu widzieliśmy się ostatni raz. Myślałem, żeście może umarli na waszej stacji pod numerem 97 i że kolej Pacific umieściła na waszem miejscu nowego urzędnika!“

Równocześnie spotkały się nogi 2-ch bandytów; nie okazali jednak swojej ciekawości.

„Wprawdzie nie umarłem,“ odparł spokojnie Niklas Dombey, „do tego mam jeszcze dwadzieścia pięć dni czasu. Chcę tylko porobić odpowiednie przygotowania i dlatego przyjechałem do was.“

„Aha,“ rzekł gospodarz karczmy, „w tym celu chcecie się pokrzepić dobrym trunkiem. Mister Dombey u mnie dostaniecie wszystkiego: miętówkę, wisky, żytniową i t. d.“

„Nie chcę żadnej wódki, potrzebuję tylko trumnę.“

„Goddam! — pewnie opętali was djabli?“

„Dotychczas nie, może za dwadzieścia pięć dni,“ odparł uparty kandydat śmierci, „drogi Tomie, o trumnie mówię całkiem serjo. — Weźcie miarę i zróbcie ją z najlepszego drzewa. — Goddam, życie było mi zawsze niewygodne, dlatego mam wielką ochotę, urządzić sobie śmierć jak najwygodniej. Trumna musi być gotowa jeszcze dzisiaj w nocy; jutro odeślę ją do mojej stacji pociągiem, który wychodzi ze Santa - Fee o godzinie szóstej rano. Mój asystent odbierze przesyłkę.“

„Więc to nie żarty,“ zawołał gospodarz, „chcecie jeszcze za życia zamówić sobie trumnę?“

„To nie, nie pytajcie tyle, patrzcie, byście ją tylko zrobili. O czwartej rano poślę po trumnę, poczem każę ją zanieść na stację. — Bierzcie miarę!“

Gospodarz zabrał się rzeczywiście do wzięcia miary na ciele swojego gościa. W czasie tej czynności dowiadywał się z całą obojętnością amerykańskiego przemysłowca, czy trumna ma być ozdobiona srebrnem okuciem, czy mister Dombey życzy sobie, by ją wewnątrz pięknie wyścielono i czy na wieku trzeba urządzić zamek?

Dombey podał swoje wskazówki, zamówił sobie kolację i zjadł befsztyk z takim apetytem, jakim może się pochwalić tylko człowiek, który umrze stanowczo za dwadzieścia cztery dni.

„Chodźmy!" szepnął doktor Morizano do swojego towarzysza. — „Hej gospodarzu! Chcemy płacić!"

Gospodarz zjawił się natychmiast i porachował flaszkę wina wcale słono. Z takich podróżników musiał skorzystać, ponieważ drugi raz nie przyjdą zapewne pod „poszukiwacza złota."

Zdziwił się jednak, gdy starszy z dwóch gości zwrócił się do niego i rzekł:

„Słuchajcie, przyjacielu, — możemy dzisiaj przenocować w waszym domu? Macie dla nas dwóch pokój? Nie żądamy żadnego zbytku; zadowolimy się pojedyńczą izbą i zapłacimy dobrze."

„Zwykle nie przyjmuję nikogo na noc!" odparł długi Tom, „jeżeli jednak panowie zechcą się ograniczyć, — na pierwszem piętrze mam mały pokój, — mogę go odstąpić panom. Są tam dwa łóżka a o reszcie także pomyślimy!"

„Zgoda!" zawołał doktor Morizano. „Oglądniemy sobie miasto i przyjdziemy prosto na spoczynek."

„Dobrego apetytu!" rzekł do Niklasa Dombey, poczem razem z Robberem wyszedł z gospody. Na ulicy dał znak towarzyszowi, że obecnie nie powinni nic mówić. Po chwili, gdy weszli w cichą, samotną uliczkę, przerwał dopiero lekarz milczenie.

„He, Robberze!" rzekł cichym głosem, „jak ci się zdaje, — nie mamy szczęścia?"

„Szczęścia? Nie widzę tego!" odparł rudowłosy bandyta. „Mogłoby być lepiej!"

„Do wszystkich djabłów, drogi przyjacielu, wkrótce będziemy mieć pieniądze. Jeżeli nam się udadzą nasze plany, to ci wypłacę, to com ci obiecał!"

„Nie radziłbym wam, doktorze, byście zapomnieli o przyrzeczeniu!"

„Robberze, obydwaj cenimy otwartość i dotrzymujemy słowa! Lecz gdy wam mówię, że nam sprzyja szczęście, to myślę zupełnie poważnie."

„Właśnie łamałem sobie nad tem głowę, w jaki sposób mamy wysadzić w powietrze pociąg kolei Pacific. Teraz nadarza się nam świetna sposobność! Widziałeś tego warjata i słyszałeś, jak zamówił trumnę u gospodarza, który równocześnie jest także stolarzem?"

„Słyszałem, dlaczego pytacie? Uważałem was za bardziej przenikliwego człowieka, Alfredzie Robberze!" zaśmiał się doktor Morizano. „Ta trumna została dla nas zamówiona!"

„Oho, dziękuję za to, nie mam ochoty umierać! Spodziewam się, że jeszcze długo pożyję na tej pięknej ziemi!"

„Życzę wam z całego serca, Alfredzie Robberze, i w jak najlepszych stosunkach. — Lecz trumna nam się przyda. Zostanie ona posłaną do stacji pod nr. 97. Jeżeliby jeden z nas znajdował się w trumnie, to mógłby łatwo dostać się do stacji i przygotować nasz plan!"

„Do djabła!" zawołał Robber. „Teraz dopiero spadła mi łuska z oczu! Tak, twój plan, doktorze Morizano, jest wprost szatański! w jaki sposób mam



Znany amerykański rekordzista Bob Eastman dokonał nielada wyczynu, skacząc na rozpędzonej łodzi motorowej przez most. Łódź w chwili skoku pędziła z szybkością 83,5 km. na godz.

się załatwić z asystentem stacji pod numerem 97?"

„Niema nic łatwiejszego!" odparł doktor Morizano. „Przedewszystkiem trzeba się dostać do stacji; trumna daje nam wyśmienitą ku temu sposobność!

„Wy, Robberze, macie smukłą postawę i większą siłę odemnie; ja jestem starszym człowiekiem i wątpię, czybym mógł podjąć walkę oko w oko. Schowacie się więc do trumny. Resztę już chyba sami załatwicie!"

„Możecie być zupełnie spokojni!" odparł Robber. „Cała sprawa zaczyna mnie interesować. Taka łotrowska sztuka rzadko się zdarza! A gdzie wy będziecie, doktorze, w tym czasie, kiedy ja zakradnę się do stacji?"

„Mojem zdaniem," odparł doktor, wzruszając ramionami, „jeden wystarczy najzupełniej do wykolejenia pociągu. — Pozostanę w Santa-Fee, gdyż inaczej mogłoby jeszcze wpaść to komu w oko, żeśmy obaj opuścili miasto!

„Trzeba być ostrożnym! W tej przeklętej Ameryce jest dużo detektywów, z którymi nie można żartować!"

„Aha! Rozumiem!" zawołał Robber, „chcecie bym wyciągnął z ognia kasztany! Podczas, gdy ja będę walczył z asystentem na śmierć i życie, wy będziecie spokojnie siedzieć w karczmie i wypijać jedną flaszkę po drugiej!

„Dobrze, niech tak będzie! Jestem gotów! Naturalnie wobec tego zmienia się podstawa naszego układu, i będzie zupełnie słuszną rzeczą, że za to dostanę większe wynagrodzenie!

„Powiedzcie mi doktorze Morizano, ile spodziewacie się otrzymać od krewnych, jeżeli im wydacie trupa Elżbiety?"

„Poślę do Anglji tylko głowę," odparł lekarz, „przekona ona krewnych o śmierci dziewczyny. Dostanę za to okrągło 300.000 marek!"

„Wobec tego zasłużyłem przynajmniej na 100.000 marek!" odparł Robber. „Wy przecie nie robicie prawie nic przy tej całej sprawie."

„Obiecałem wam 20.000 marek! Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, dodam jeszcze 10.000!"

„30.000 marek? A zadatek?"

„3000 marek!"

„To tylko tyle, na ileśmy się zgodzili w Nowym Jorku! To za mało doktorze! Potrzebuję pieniędzy! Muszę się wyposażyć, jeżeli mam jechać z wami do Anglji. Obecnie chodzę jak ostatni żebrak. Tak dalej nie idzie!"

„Więcej nie mogę wam dać zadatku jak 3000 marek," odparł stanowczo doktor Morizano. „Sam posiadam tylko kilka tysięcy marek. Dając wam teraz 3000 marek dzielę się z wami jak brat z bratem!"

„Dobrze, dajcie mi pieniądze, zanim się ukryję w trumnie!" zawołał Robber. „Jeżeli nie myślicie mnie oszukać to mi zawierzycie, tak jak ja muszę wam ufać!"

Szubrawcy podali sobie ręce. —

Uściśnięcie ręki jest zwykle wyrazem serdeczności, miłości i wierności, lecz uścisk tych dwóch kreatur był tylko pieczęcią, którą wycisnęło piekło na dokumencie swoich ponurych planów.

CXXXVI.

Samotność na stacji

O szóstej godzinie wieczorem następnego dnia, zatrzymał się przy stacji pod numerem 97 towarowy pociąg, a dwaj urzędnicy jadący w pociągu, wyładowali trumnę.

Nowy asystent stał stosownie do przepisu, przed domem, trzymając w ręce rozwiniętą, czerwoną chorągiewkę.

„Ta trumna jest przeznaczona dla tej stacji!" rzekł jeden z urzędników. —

„Wnieśmy ją do środka. — Goddam, umarł kto u was?“

„Nikt, tylko mister Niklas Dombey sądzi, że umrze za dwadzieścia pięć dni; dlatego zamówił sobie trumnę!“

„Haha, ładna trumna! W takiej trumnie można sto lat spokojnie leżeć!“

„Nawet jeszcze dłużej!“ dodał palacz z lokomotywy. „Wszystko w porządku?“ zapytał maszynista, który zeszedł z lokomotywy i przechadzał się po torze, korzystając z krótkiego przystanku.

„Tak jest, tor został skontrolowany!“ odparła Lola w swojej roli asystenta.

„Czy pani wie, które pociągi jadą dzisiaj po torze?“ zawołał maszynista, dziwiąc się, że taka piękna młoda kobieta spełnia służbę w tem pustkowiu.

„O godzinie 7.27 przychodzi pociąg towarowy,“ odparła Lola, „następnie idzie pociąg pospieszny do St. Louis, gdyż dzisiaj mamy czwartek. Wiem wszystko! Pociąg pospieszny będzie tutaj o 11 godzinie 13 minut, jeżeli się nie spóźni!“

„Bardzo możliwe,“ rzekł maszynista. „Jeżeli śnieg nie pada, to się pociąg nie spóźnia, — ale w zimie, — drogi Boże! Trudno to przewidzieć.“

Urzędnicy zanieśli trumnę do stacji i zjawili się znowu na peronie.

„Postawiliśmy trumnę w rogu,“ rzekł jeden z urzędników; „nie będzie się pani bała tego nieprzyjemnego sąsiedztwa?“

„Nie boję się!“ odparła Lola.

„Gotów!“ zawołał maszynista. „Dalej jazda!“ Lokomotywa gwizdnęła, — koła zaczęły się obracać, pociąg ruszył wolno z miejsca, a w pół godziny później zniknął na zakręcie.

Lola weszła do domu. Dotychczas szło wszystko dobrze i czuła się zupełnie zadowoloną, — mimo że dokoła nie było ani jednej żywej duszy. Niebała się samotności. Przeciwnie, ta cisza leczyła jej rany jak balsam! Odkąd zamieszkała w tej puszczy, — daleko od światowego zgiełku, — czuła się dopiero spokojniejszą! Milczący Niklas Dombey był bezwarunkowo kiepskim towarzyszem!

Tutaj uspokoił się głos skruchy, która przedtem szalała w jej duszy, a piękna, młoda kobieta, która tak ciężko zgrzeszyła i tak strasznie odpokutowała, odzyskiwała powoli równowagę. Myślała spokojnie o swojej przeszłości, mogła nawet uprzytomnić sobie obrazy tych, o których dawniej nie mogła nawet myśleć, by gorzko nie zapłakać.

Postać Kazimierza stawała teraz przed nią jakby otoczona jasnością. W myśli tuliła się do niego.

Nienawidziła tego człowieka, który ją pociągnął w przepaść, tego demona swojego życia, owego Alfreda Robbera, który ją przyzwyczaił do złych, wstępnych, wstrętnych rzeczy i który później, gdy została żoną hrabiego Kazimierza Zamskiego, odnalazł ją w Paryżu, wyzyskał jej rozpaczliwe położenie, sprowadził ją z drogi cnoty i wycisnął na jej czole piętno hańby.

Ach, jak opłakiwała ową godzinę, w której oddała się Alfredowi Robberowi! — To było szaleństwo! Gdyby wówczas nie była piła tego szampana, który rozpłomienił krew, — nigdy nie zostałaby kochanką Alfreda Robbera!

Lola była mocno przekonana, że ten łotr włożył do szampana usypiający trunek i w ten sposób rozbudził jej namiętne zmysły, które napełniły ją szaloną pożądliwością. — — — — —

„Dwie rzeczy chciałabym jeszcze raz spełnić w mojem życiu!

„Pragnę upaść do nóg Kazimierzowi i prosić go o przebaczenie; chcę posłyszeć jego słowa: „przebaczam ci“, — wówczas będę zadowoloną!

„Jeszcze bardziej cieszyłoby mnie, gdybym mogła wbić nóż w piersi mojego nieprzebłaganego wroga, Alfreda Robbera, — gdybym go widziała tarzającego się u stóp moich w śmiertelnych drgawkach, — wtedy umrę z lekkiem sercem, wtedy spełnię moje dzieło!

„Życzenia, — płonne nadzieje!“ dodała Lola, zamykając okno, ponieważ i nad borem unosiły się już szare mgły, które wychodziły z leśnej ziemi, — „nigdy nie zobaczę Kazimierza, ani tego nędznika, Alfreda Robbera, — ach, jak znienawidzone mi jest to nazwisko, nie mogę go nawet wymówić! — Jego także nie spotkam!

„Za daleko rzuciły mnie fale losu od tego miejsca, gdzie oddycha i żyje; a może tak i lepiej, gdyż szkoda trudu, bym z powodu takiego człowieka została morderczynią!“

CXXXVII.

Trumna i żyjąca ręka

Lola odeszła od okna. Na małym piecyku, który znajdował się w sypialni Niklasa Dombey, przysposobiła sobie kolację, złożoną z kawałka mięsa, chleba i mleka. Następnie wyszła przed stację, czekając na towarowy pociąg, który miał nadejść koło wpół do ósmej.

Wszystko szło jak w zegarku. Pociąg towarowy nadszedł, a po kilku minutach pojechał dalej. Młoda, piękna kobieta była znowu samą w odludnem pustkowiu.

Wieczór nadchodził. Miljony gwiazd błyszczały na niebie, księżyc oblewał ziemię swojem srebrnobiałem światłem i otaczał całą okolicę tajemniczym blaskiem. W puszczy rozpoczęło się tajemnicze życie, które trwa przez całą noc. Tysiące owadów budziło się ze snu, nocne motyle, o nieznanej w Europie wielkości, przelatywały nad krzakami. Lipcowe chrabąszcze świeciły szmaragdowo - zielonym światłem, jak błędne ogniki.

Lola patrzyła z zachwytem na otaczające ją cuda. Nie mogła się napatrzeć do syta tym dziwnym cieniom, które powstają w ciemni lasu przy świetle księżyca. Koło dziewiątej godziny udała się powoli do domu.

Zamknęła okna i zaryglowała je, zakładając na okiennice żelazne sztaby. Zawarła także drzwi i położyła obok telegraficznego aparatu sześciostrzałowy rewolwer, który jej pozostawił Niklas Dombey.

Czuła się jakoś nieswojo, gdy pomyślała, że jest samą i że właśnie dzisiaj znajduje się w kasie więcej gotówki. Nie mogła przezwyciężyć nieprzyjemnego uczucia; Dombey ostrzegł ją wyraźnie, by się miała na baczności przed włóczęgami, którzy się pokazują często w pustyni.

Czytała także w gazetach, które Dombey niedawno temu otrzymał ze Santa-Fee, że Indjanie opuścili swoje osady i krążą po kraju mordując ludzi.

Wreszcie wynurzyły się przed nią upiory przeszłości. Otaczały wzruszoną kobietę dzikim tańcem szkieletów, kręciły się dokoła niej w szalonym wirze i wzbudzały w jej pamięci wszystkie straszne i ponure wspomnienia.

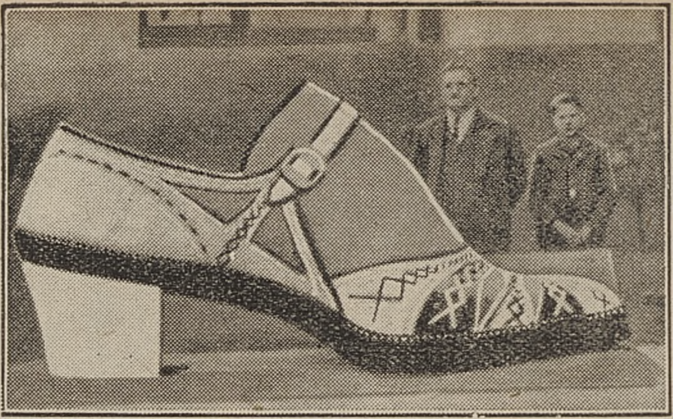
Nagle przed oczyma Loli pojawił się obraz, który napełnił ją zachwytem. Widziała swoje dziecko, — chłopczyka z jasną główką i niebieskiemi oczyma, — który się do niej uśmiechał i wyciągał swoje rączki, jakby chciał mówić:

„Mamo, — mamusiu, — gdzie jesteś, dlaczego nie jesteś przy mnie? — Mamo, — chodź do mnie!“

„Oh, moje drogie dziecko,“ zawołała Lola, a gorące łzy potoczyły się po jej pięknych policzkach, „nie mogę być przy tobie, muszę się błąkać całe życie, — jestem przeklęta. — Ukrywam się tutaj w leśnej puszczy, by mnie nie zobaczył nikt z ludzi i pokutuję za moje grzechy.

„Droga dziecino, pozostałaś u dobrych ludzi, — pani Rodeń nie wyrządzi ci krzywdy, — zastąpi ci matkę, — oh, codziennie błagam Boga o błogosławieństwo dla tej kobiety, — niech ją Stwórca wynagrodzi za opiekę nad biedną sierotą.“

Zegar stojący obok telegraficznego aparatu wskazywał kwadrans na dziesiątą. Lampa świeciła się ponuro, —



Jeden z szewców amerykańskich w oknie wystawowem umieścił but kolosalnych rozmiarów. But ten wykonał pewien szewc, pracując przy nim dwa i pół roku wieczorami. Przedstawia on najnowszy, lansowany obecnie model letni. Cena tego buta wynosi 3000 dol., ale i tego wydatku nie wahano się ponieść dla reklamy.

prawdopodobnie było w niej mało nafty.

„Muszę ją znowu napełnić,“ rzekła Lola, a jednak, — ten niespokój, — albo była to trwoga, — która trzymała ją na stołku. Jej oczy biegały niespokojnie dokoła, — nagle spojrzała na trumnę stojącą w rogu pokoju. Zimny pot wystąpił jej na czoło! Nawet próżna trumna budzi w duszy człowieka posępne, ciemne myśli, — nie trzeba się więc dziwić, że ten nieprzyjemny widok wstrząsnął do głębi piękną kobietę, która była samą w skalistej okolicy, zdala od ludzkiej osady.

„Będę pracować,“ rzekła Lola, „może rozproszę te przykre myśli. — Nie, nie będę się bała; cóż mi się stać może! — Gdyby teraz przyszedł morderca i mnie zabił, — dobrze, przynajmniej skończyłoby się życie. — — — Sama przecież nosiłam się z samobójczą myślą.

„Lecz nie, — nie mogę teraz umierać, muszę spełnić mój obowiązek. Po jedenastej godzinie nadchodzi pociąg pospieszny; trzeba dać sygnał. — Gdyby tego nie uczyniła, mogłoby się stać jeszcze jakie wielkie nieszczęście. Muszę również oglądnąć tor, chociaż jestem przekonaną, że wszystko jest w porządku.

„Tak, najpierw zamknę książkę, a potem wyjdę na pole i udam się na kontrolę.“

Wzięła grubą książkę i płócienny woreczek, który jej wręczył maszynista ostatniego pociągu. Worek zawierał trzy tysiące dolarów, które były przeznaczone dla jednego kolonisty w sąsiedztwie. Lola wysypała pieniądze na stół i zaczęła liczyć.

Nagle przerwała robotę. — Widocznie miała roztrojone nerwy, — zdawało się jej bowiem, że słyszy szelest, dolatujący z rogu izby, w którym stała trumna.

Przecież tam były tylko martwe przedmioty, które się nie mogły poruszać. Coś innego musiało spowodować szelest.

Rachowała dalej, składała banknoty, złoto i wkrótce pokryła cały stół pieniędzmi.

Nagle wzdrygnęła się, — nie, to nie było złudzenie, — teraz słyszała wyraźnie szmer — ktoś tam drapał, — spojrzała w róg pokoju, — znowu zaległa cisza.

„Prawdopodobnie zabłąkał się szczur,“ pomyślała Lola, „niech sobie dalej drapie i poluje, — przynajmniej mi będzie weselej wiedząc, że obok mnie znajduje się żyjąca istota.“

Znowu pochyliła głowę i zaczęła dalej rachować. Jednak drapanie było coraz bardziej wyraźniejsze, teraz słyszała lekkie szamotanie, jakby ktoś otwierał skrzynię, albo kufer.

Młoda kobieta nie miała odwagi powstać ze stołka, spoglądała jednak ustawicznie na trumnę. Nagle zobaczyła, — krew ściela się jej w żyłach jak lód, włosy powstały na głowie, — widziała, jak się podniosło wolno wieko trumny.

Chciała krzyknąć o pomoc, zacisnęła jednak wargi. — Zaledwie odważyła się poruszyć ręką, by ukradkiem pochwycić za rewolwer. Zimny pot wystąpił jej na czoło. A teraz, — ha, wieko trumny



W Anglji odbywa się rok rocznie uroczysty wjazd królowej Maja... Oto 10-letnia dziewczynka, wybrana na królową, wjeżdża po koronacji w otoczeniu dworzanek, w ulice miasta.

podniosło się, — pokazała się biała ręka, — duża, silna dłoń mężczyzny.

Straszna myśl przeszyła mózg Loli, — myśl, która wstrząsnęła nią do głębi jeżeli złodziej, albo rabuś wkradł się w trumnie do stacji, celem obrabowania kolejowej kasy? — Łotr zwąchał zapewne, że dzisiaj nadejdzie większa suma, którą postanowił sobie przywłaszczyć! Tak, — obmyślano zuchwały napad. I dziwne, — w tej chwili, kiedy ta jasna myśl wpadła Loli do głowy, nagle jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki znikła także i jej obawa.

W następnej sekundzie postanowiła nie tracić czasu. Jeszcze nie podniosło się wieko trumny, mogła więc bronić się przed złoczyńcą.

Młoda kobieta powstała nagle ze stołka i rzuciła się całą siłą swojego ciała na wieko trumny; równocześnie —

Z trumny wydobył się okrzyk boleści, wewnątrz rzucało się ciało, Lola posłyszała jęk i błagalne słowa. — Była zadowoloną, że się jej udało wyprowadzić w pole zbrodniarza.

Między wiekiem a trumną wystawała ręka nędznika. Lola ścisnęła ją tak silnie, że mogła widzieć dokładnie, jak palce zaczęły przybierać powoli niebieskawą barwę.

Lola myślała, że najgorsze niebezpieczeństwo już minęło. Teraz szukała rękami zamknięcia, mijały jednak minuty w strasznej niepewności, lecz nie mogła znaleźć odpowiedniego miejsca.

Powinna zamknąć trumnę; tylko w ten sposób mogła się zabezpieczyć przed bandytą, który się ukrył w nieprzyjemnem schowaniu. Obecnie nie było czasu do stracenia; czekała ją jeszcze kontrola kolejowego toru.

Święty Boże, jeżeli ten człowiek w trumnie był z innym w zmowie, i gdyby obaj, — jak to często się zdarza w amerykańskich pustkowiach, — zamierzali wysadzić pociąg w powietrze? Nie mogła dłużej pozostać na trumnie, musiała wyjść z domu i spełnić swój obowiązek, — lecz jak przeszkodzić temu, by jej nie uciekł zbrodniarz, którego trzymała w trumnie tylko ciężarem swojego ciała.

Lola namyślała się nad tem, gdy nagle zaczął stukać aparat. Guzik poruszył się, a w pokoju rozległy się znane tony, z których każdy oznacza jedną literę.

Lola w czasie swojego krótkiego pobytu na stacji, tak się przyzwyczaiła do tego pukania, że nawet nie potrzebowała oglądać papieru, na którym aparat wybija znaki. Ze samego stukania potrafiła odczytać telegram, — wprawa, którą przyswaja sobie każdy urzędnik telegrafu po pewnym czasie.

Pochyliwszy się, słuchała uważnie; depesza była nadaną w Santa-Fee i zawierała następującą krótką treść:

Uważać bacznie na tor, — pociąg nr. 11 znajduje się w niebezpieczeństwie!

W Santa-Fee wiedziano więc o strasznem zajściu, które się tutaj odgrywało. Chociaż zarząd kolei pewnie nie podejrzywał, że jeden z łotrów zakradł się w trumnie do stacji, to w każdym razie było widoczne z tego telegramu, że pociągowi pospiesznemu grozi straszne niebezpieczeństwo. Było jej obowiązkiem odpowiedzieć natychmiast na ten telegram i zawiadomić zarząd kolei w Santa-Fee, że otrzymała depeszę, a jednak nie miała odwagi powstać z trumny. Jedno poruszenie mogło oswobodzić nędznika, a wówczas.

Lola wzdrygnęła się na myśl, gdyby się udało zbrodniarzowi wydostać z trumny.

Tak, gdyby przynajmniej miała broń, — rewolwer w ręce uwolniłby ją z tego strasznego położenia! Postanowiła zastrzelić bandytę, jeżeliby podniósł tylko głowę.

By jednak posiąść broń, musiała udać się do stołu, trwałoby to zaledwie kilka sekund, ale w tych kilku sekundach mógł się oswobodzić zbrodniarz, a wtedy byłaby zgubiona.

Nagle do groźnego wzruszenia, w którem się znajdowała Lola, przyłączyło się jeszcze drugie. Zdawało się jej, że słyszy lekkie płakanie, dolatujące od okna, jęk i zawodzenie, jakby się tam znajdował człowiek zagrożony śmiercią.

Początkowo sądziła, że to złudzenie; może oszukiwały ją wzburzone zmysły. Lecz w tem, — znowu obiło się o jej uszy głośne płakanie.

Nie były to tony zranionego zwierzęcia, które może doszło do drewnianego domu, by tutaj zakończyć życie, nie, to był głos człowieka, a teraz —

„Wody, — tylko kroplę wody!" mówił ktoś z pola.

Lola chciała powstać, serce nagliło ją, by dała pomoc nieszczęśliwemu, spełniła jego życzenie i podała jego łaknącym ustom szklankę wody, — nie mogła jednak opuścić trumny.

Ah, trzy obowiązki wołały ją na stanowisko; obowiązek urzędu, który jej nakazywał odpowiedzieć na telegram, wysłany ze Santa-Fee, obowiązek ludzkości, podać pomoc umierającemu na polu, a trzeci obowiązek wzywał ją na tor, najpotężniejszy, święty obowiązek, od którego spełnienia zależało bezpieczeństwo setek ludzkich egzystencji i i uniknięcie katastrofy, której skutki trudno sobie przedstawić.

Lola oparła jedną rękę na wieku trumny, a drugą przyłożyła do bijącego serca; gorący rumieniec pokrył jej oblicze, drżała na całem ciele. Nigdy w życiu nie była tak niezdecydowana, nigdy nie znalazła się na takiem rozdrożu. Mężczyzna, ukryty w trumnie, próbował teraz wydostać się, wysilał się na podniesienie wieka i na zrzucenie Loli.

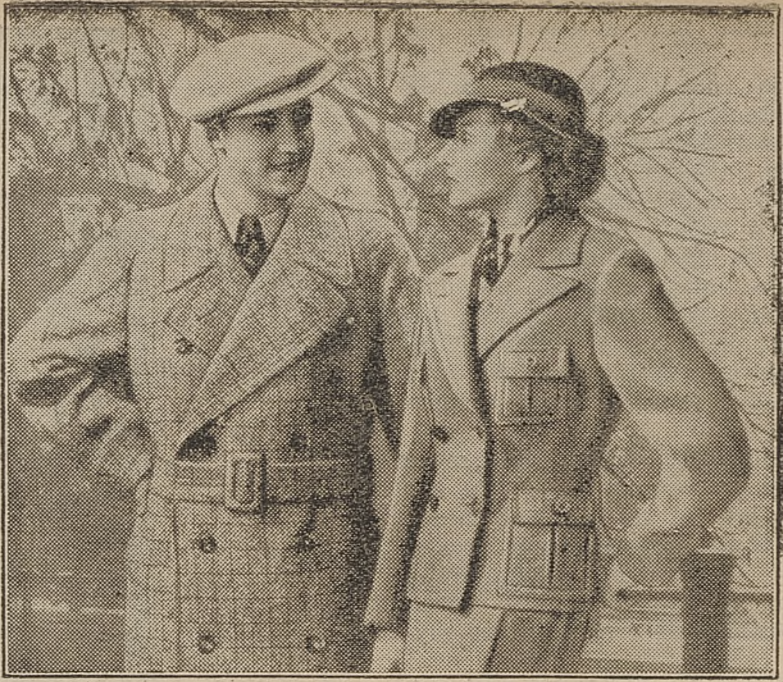
Lola wytężała wszystkie swoje siły, by nie wypuścić łotra. Położyła się na trumnie, objęła ją ramionami, poczem rozpoczęła się straszna walka z nieznajomym, — którego jeszcze nie widziała, walka, w której Lola musiała sobie wyznać, że wcześniej czy później zakończy się jej klęską.

„Na Boga, zlitujcie się," mówił słaby, umierający głos z pola, „wody, — nie mogę dłużej, — Kazimierzu, — Kazimierzu, żegnaj, — umieram, — Kazimierzu!"

Loli zdawało się, że straci zmysły. Imię, które panowało w jej sercu, imię, o którem ciągle myślała, obiło się nagle o jej uszy z ust nieznanej osoby!

Teraz, — Lola musiała widzieć postać, która na polu oczekiwała śmierci, usta, które wymówiły imię Kazimierza, ha, — i teraz —

„Żegnaj, Kazimierzu", szeptał umierający głos pod oknem, „nie zobaczysz więcej twojej Anieli!"



Pierwsze cieplejsze dni wiosny dały hasło do urządzania pozamiejskich spacerów i wycieczek. Jak miło nieraz i dobrze przystanąć gdzieś w drodze i porozmawiać bez świadków o tem, co wywołuje uśmiech na ustach, to znowu kładzie na czole zadumę cichego szczęścia.

Lola zerwała się z dzikim okrzykiem, teraz wiedziała, kto był na polu. Aniela, owa nieszczęśliwa, która się niegdyś za nią poświęciła i uwolniła ją od tego potworu — zatruwającego życie. Przed drewnianym domem umierała Aniela z braku wody, a ona — — —

Święty Boże! Wieko trumny otwarło się w tej samej chwili, kiedy powstała, a z trumny wyłoniła się postać mężczyzny, na którego widok Lola stanęła jak skamieniała. Z przerażenia nie mogła nawet wydobyć głosu z gardła.

Nędznik, ukryty w trumnie, który w ten sposób zakradł się do stacji, — poznała go, — był człowiekiem, którego nienawidziła z całego serca, to był ów łotr, — który złamał jej szczęście i życie, z powodu którego musiała uciekać w nieznane kraje, wzgardzona przez ukochane osoby. — Alfred Robber, demon jej życia, przyprowadził ją o kij żebraczy! — Rudowłosy bandyta nie pozwolił jej na zorjentowanie się w strasznej sytuacji i wyskoczył z trumny jak tygrys. Lola cofnęła się i chciała pochwycić za rewolwer, leżący na stole, wiedziała bowiem, że teraz nadeszła stanowcza chwila.

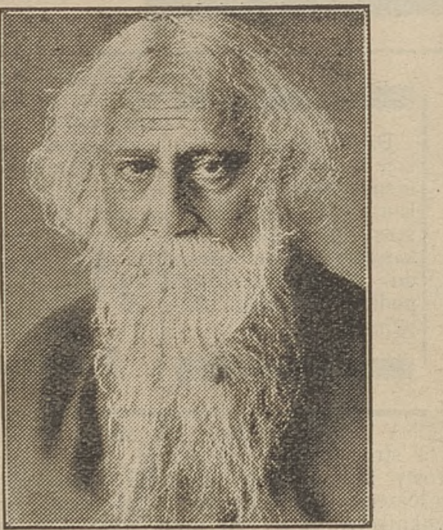
Lecz w tej samej chwili przyskoczył do niej i odrzucił ją na bok, tak, że upadła na trumnę.

Alfred Robber zbliżył się do Loli, a po chwili rozpoczęła się straszna, rozpaczliwa walka.

Alfred Robber chciał wpakować Lolę do trumny; gniótł ją kolanem, a jej ręce trzymał żelaznem objęciem. Jego oczy błyszczały zielonawo, jak u drapieżnego zwierzęcia, czuła jego oddech, który jak rozpalona lawa zaciężył na jej piersi.

Tak przeszło kilka długich minut, w ciągu których spoglądali na siebie złowrogo!

„Więc to ty jesteś?“ zawołał Alfred Robber ochrypłym głosem, „ah, piękna Lolu, nie spodziewałem się, że cię spotkam w tej pustyni! Leż spokojnie, mój gołąbku, jesteśmy starymi znajomymi, kochankami, jeżeli chcesz, a Alfred Robber jest na tyle uprzejmy, że nie uczyni nic złego kobiecie, która spoczywała w jego objęciach, o ile konieczność nie zażąda czego innego. Zależy więc tylko od ciebie, czy nasze spotkanie będzie dla ciebie zgubne, czy nie.“



Sławny hinduski poeta i filozof Rabindranath Tagore, obchodził 7. bm. 75-tą rocznicę urodzin. Dzieła jego przetłumaczone są na wiele języków europejskich. W roku 1913 otrzymał on nagrodę Nobla.

„Nędzniku“, zawołała Lola, „czego tutaj szukasz? Jaki djabeł zaprowadził cię do tego pustkowia, byś swoim oddechem zatruł i zanieczyścił mój spokój? Chcesz może zrabować to złoto, leżące tam na stole? Nie należy do mnie, to obca własność, którą przysięgłam strzec jak oka w głowie —“

„Dziękuję ci“, odparł Alfred Robber z cynicznym uśmiechem, „żeś zwróciła moją uwagę. Nie wiedziałem o tem; w każdym razie zabiorę złoto, ponieważ obecnie znajduję się w przykrem położeniu.

„Lecz nie dla tego złota ukryłem się w tej przeklętej trumnie, w której o mało co się nie udusiłem; moja gołąbko, mam ważniejsze zamiary. Pozwolisz, że zaczekam tutaj na pospieszny pociąg, który musi nadejść po jedenastej godzinie!“

„Co zamierzasz zrobić z tym pociągiem?“ zawołała Lola, przejęta złowrogiem przeczuciem, „biada ci, łotrze, jeżeli wcześniej nie opuścisz tej stacji! Wówczas pochwyci cię służba i nie ujdziesz zasłużonej kary. Uciekaj więc, bo czas nagli!“

„Dziękuję ci za dobrą radę“, rzekł Alfred Robber, prostując swoją skurczoną postać, „lecz pospieszny pociąg, nadchodzący po jedenastej godzinie, wogóle dzisiaj nie przyjdzie!“

„Wcielony djable, — chcesz wysadzić pociąg w powietrze?“

(Ciąg dalszy w nast. numerze)

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

Niedziela, dnia 17 maja 1936 r.

9.00 Audycja poranna 10.30 Transmisja nabożeństwa 12.15 Oratorjum „Syn marnotrawny“ — Opieńskiego. 13.10 Fragment z Komedji Zabłockiego „Sarmatyzm“ 13.30 Koncert Kapeli Ludowej 14.00 Himera z Notre Dame 14.20 Hiszpańskie nastroje (muzyka) 15.00 Godzina rolnika 16.00 Chwilka pytań 16.15 Muzyka 17.40 Migawka regjonalna „Pierwszy szofer lwowski“ 18.00 Recital skrzypcowy 18.30 Śmierć papieru — słuchowisko 20.00 Koncert Orkiestry Marynarki Wojennej 20.45 Odczytanie pism Józefa Piłsudskiego 21.10 Na Wesołej Lwowskiej Fali 21.55 Fragment dorocznego marszu „Sulejówek-Belweder“

Poniedziałek, dnia 18 maja 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.15 Pielęgnacja okopowych — pogadanka 12.25 Koncert południowy 16.00 Lekcja języka niemieckiego 16.15 Trio salonowe P. R. 16.45 Wytrzymałość — skecz 17.00 Walka z nieszczęśliwemi wypadkami — pogadanka 17.15 Minuta poezji 17.20 Recital Marji Rońskiej 17.50 Azbest — pogadanka 18.00 Sonata na skrzypce i fortepian J. Wertheima 18.30 Listy od dzieci 19.35 Wiadomości sportowe 20.00 Audycja żołnierska 20.30 Pieśni towarzyskie staroszlacheckie 21.00 Muzyka lekka 21.30 Hreczkosiej na Parnasie — wieczór literacki 22.00 Koncert poświęcony twórczości Emila Młynarskiego 23.05 Muzyka.

Wtorek, dnia 19 maja 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.15 Audycja dla szkół 12.30 Koncert południowy 16.15 Koncert muzyki lekkiej z udziałem M. Mierzejewskiego 16.50 Cała Polska śpiewa 17.05 Odczyt „Marynarka Wojenna i Flota Handlowa“ 17.20 Adam Aston śpiewa piosenki 18.00 Kwartet smyczkowy A-Dur Schumanna 18.30 Współczesna liryka miłosna — kwadrans poetycki 20.00 Monolog 20.10 „Na wesoło“ gra orkiestra kameralna 21.15 Fragmenty z opery Cl. Debussy'ego „Peleas i Melisanda“ 2.00 Pieśni wiosenne 22.30 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 20 maja 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.15 Gdzie się kształcić — pogadanka dla kobiet 12.30 Koncert południowy 16.00 Rozmowa Majsterklepki z Lepigliną 16.20 Pieśni ludowe 17.00 Dyskutujmy — „O pracy społecznej“ 17.20 Recital skrzypcowy Szymona Bakmana 17.50 Książka i wiedza 18.00 Piosenki z dawnych lat 19.25 Pielęgnacja roślin warzywnych 19.35 Wiadomości sportowe 20.00 Muzyka lekka 21.00 Koncert chopinowski 21.30 „Pisarze zmieńcie świat“ — dyskusja 21.55 Recital śpiewaczy Heleny Zboińskiej-Ruszkowskiej 22.25 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 21 maja 1936 r.

9.00 Audycja poranna 10.00 Nabożeństwo z kościoła Szkoły Podchorążych Piechoty 12.15 Koncert z udziałem Fr. Platówny — w przerwie fragm. słuchowiskowy 14.00 „Legjon Mickiewicza we Włoszech“ — fragment z powieści Szpotańskiego 15.00 Godzina rolnika 16.15 Wiązanka melodyj rewjowych i filmowych 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 Odczyt wojskowy 17.15 Wesoły Wiedeń — koncert 18.30 „Zgadnij kto gra i śpiewa?“ — rozwiązanie zagadki 19.55 Wiadomości sportowe lokalne 20.00 „Wśród tańca i śpiewu“ — reportaż muzyczny 21.00 Premjera komedji A. Fredry „Koncert“ 21.35 Nasze pieśni 22.15 Kwartet smyczkowy d-moll pp. Antoniego Moniuszki 22.50 „Jak za dawnych lat“ — koncert.

Piątek, dnia 22 maja 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.40 Muzyka salonowa 15.30 „W pół godziny przez Europę“ — płyty 16.15 Koncert 16.45 „Dzieje i przygody Krzysztofa Kolumba“ — audycja dla dzieci 17.00 Odczyt z cyklu „Skarby Polski“ 17.20 Recital fortepianowy Kazimierza Krąnca 18.00 Chór Juranda 19.35 Wiadomości sportowe 20.00 Koncert symfoniczny z Filharmonji Warszawskiej 22.50 Muzyka taneczna z Cafe Clubu.

Sobota, dnia 23 maja 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.25 Koncert 15.30 Orkiestra mandolinistów 16.15 Konik polny i mrówki — audycja dla dzieci 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 Nabożeństwo majowe z Jasnej Góry 18.00 Odczyt z cyklu „Mówimy o prowincji“ 18.10 Koncert solistów 19.40 Wiadomości sportowe 20.00 Muzyka lekka 21.00 Polska wiosna — audycja dla Polaków z zagranicy 21.30 „Wesoła Syrena“ 22.00 Koncert z udziałem St. Tawroszewicza (skrzypce) 23.05 „Od walca do rumby“ — płyty.

CHWILA ZASTANOWIENIA

Logogryf — przekładanka
uł. F. Gałecki z Głowna.

P	A	L	M	A
K	A	R	O	L
F	E	L	K	A
B	A	R	K	A
M	E	R	T	A
S	K	O	D	A
T	A	S	A	K
S	K	A	L	A
K	A	S	T	Y
C	Z	A	R	Y
S	R	O	K	A
K	W	I	A	T

Z tych samych słów w prostokącie pierwszym ułożyć inne wyrazy w prostokącie drugim. Po prawidłowem wpisaniu słów rząd pionowy, środkowy da rozwiązanie.

Szarada

Pierwsza rzeka, co swe wody
Toczy w cudnym kraju,
Drugie kwiat o silnej woni,
Kwitnie jeszcze w maju,
Całość człowiek, co nie zechciał
Być poddanym sługą,
Kładł swe życie za ojczyznę
Przez niewolę długą.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku 22 maja br.

Rozwiązanie zadań z nr. 18 „Moich Powieści“: Logogryf: 1. Miesiąc. 2. Matka. 3. Poeta. 4. Ufa. 5. Mak. 6. Manna. 7. Łyżwa. 8. Telefon. 9. Okpryna: 10. Grosz. 11. Rumak. 12. Korsyka. 13. Konkurs. 14. Karliński. Całość: Stefan Żeromski. Bilety wizytowe: Dyktator, prezydent i komandor.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Anna Dorożyńska — Chrośna, „Eros“, Pelagja Wolniewiczówna — Łódź, Juljusz Pogorzelski — Chorzów, Wacław Janiak — Częstochowa, Emilja Płonkówna — Jutrosin, Sergjusz Opalski — Kraków, Barbara Witczakówna — Łódź Jan Maciejewski — Sosnowiec.

Nagrody w drodze losowania przypadła pp.: Pelagji Wolniewiczównie z Łodzi i Juljuszowi Pogorzelskiemu z Chorzowa.

HUMOR

Daremny trud



Kiedy waliza się nieco uchyli,
Daremny jest połów barwnych motyli...

Optymizm

— Karolku, — woła zrozpaczona młoda małżonka, — jeśli mi natychmiast nie kupisz nowej sukienki, skoczę do wody.

Karol uśmiecha się pod wąsem, otwiera drzwi i woła:

— Kasiu, proszę przygotować łazienkę, pani chce wziąć kąpiel.

A to wpadł

— Co się stało? Wydajesz się nieswój?

— Tak, żona była przeszło cztery tygodnie w podróży...

— Więc?...

— Stale jej pisywałem, że siedzę co wieczór w domu, a dziś dostaliśmy rachunek z elektrowni: za cztery tygodnie oświetlenia 2,50 zł.!

Powód

— A dlaczego nie kupiłeś gąbki?

— Bo wszystkie, które mi pokazywali w sklepie, miały pełno dziur.

W aptece

Do apteki wchodzi młoda panienka i pyta:

— Czy nie możnaby, panie aptekarzu, zażyć olejku rycynusowego, ale tak, by nie poczuć nieprzyjemnego zapachu?

— Owszem! Proszę, niech pani siada... Zaraz przyrządzę... A może pozwoli pani szklaneczkę limonjady ze sokiem?

— Z miłą chęcią!

Chwila pauzy, limonjada już wypita, panienka zaczyna się niecierpliwić.

— Czy prędko będzie gotów ten preparat? — pyta.

— Jakto? Więc pani nie poczuła?

— Czego?

— No, olejku! Był przecież w limonjadzie!...

— Ach, Boże. To miało być nie dla mnie, ale dla mojego małego braciszka.

Atrakcje letniskowe

— Nie podoba mi się tu, pusto, nudno, ani lasu, ani wody, żadnej atrakcji.

— Myli się pan, mamy tu wspaniałe atrakcje. Naprzykład w zeszłym tygodniu było zaćmienie słońca.

Wizyta u astrologa

Mag Wschodu: Więc pan chciałby wiedzieć, jaki numer wygra w najbliższym ciągnieniu? Wygra numer... numer... Nie, nie mogę panu powiedzieć, po głębszem zastanowieniu postanowiłem tę wiadomość zachować dla siebie.

W teatrze

Kasjerka: Wszystkie miejsca już rozsprzedane. Jest jeszcze kilka biletów na stojące miejsca.

Gość: — Dobrze, niech będą, proszę o dwa, ale tylko razem, obok siebie.

Gdyby

— Jak się panu podobała moja żona?

Redaktor: — Wiesz pan co, gdyby była manuskryptem, tobym ją natychmiast z powrotem odesłał.

Spojrzenie wstecz

— Większość ludzi jest wcale niepodobna do tego, czem kiedyś byli.

— Jakto? A czemże byli?

— Dziećmi.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. - Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się. Wystarczy adresować: „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie